

**JÓZEF IGNACY  
KRASZEWSKI**

DWIE KRÓLOWE

# Józef Kraszewski

## Dwie królowe

[http://www.litres.ru/pages/biblio\\_book/?art=55843478](http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843478)

*Dwie królowe:*

### **Аннотация**

Jesteśmy w szesnastowiecznej Polsce, a dokładniej na dworze królewskim na Wawelu. Tytułowe dwie królowe to Bona Sforza i Elżbieta Habsburżanka, żona Zygmunta Augusta. Pierwsza z nich przeciwna jest małżeństwu syna, ponieważ nienawidzi Habsburgów. Do mariażu jednak dochodzi, co nie powstrzymuje królowej przed knuciem intryg przeciwko synowej, a Zygmunt August, który jest pod wielkim wpływem matki, unika własnej żony. Czy zauważy on niewinność i dobroć żony i wyrwie się spod wpływu matki? Historia konfliktu królowej Bony i Elżbiety Habsburżanki została spisana przez Kraszewskiego w 1884 roku. Powieść weszła w skład cyklu Dzieje Polski.

# Содержание

Том I	5
Конец ознакомительного фрагмента.	133

# Józef Ignacy Kraszewski

## Dwie królowe

Powieść historyczna

(Bona i Elżbieta)

*Drogim ceniom*  
*ALEKSANDRA Hr. PRZEZDZIECKIEGO,*  
*którego poszukiwania opowiadaniu temu dostarczyły*  
*treści,*  
*poświęca je*  
*Autor.*  
*Drezno 27 stycznia 1884.*

# Tom I

Wieczór jesienny ciepły był jeszcze, ale w powietrzu czuć się dawała ta woń, która każdą porę roku odznacza. Lekki wietrzyk od Wisły i łąk a pół, od dalszych lasów i zarośli przynosił wyziewy liści więdnących, usychających traw, kielkujących zbóż zasianych, które żywo wśród pożółkłych ścierni się zieleniły, i mgły niewidocznej jesieni. Niebo złociło się, rumieniło, barwiło sinemi i liliowemi obłokami, z pod których blade, zielonawy lazur północy przeglądał. Z dali żaden głos nie dochodził, nie widać było na błoniach ruchu i życia. Jak mrówki przesuwają się tylko gdzieniegdzie trudne do rozpoznania postacie na płowych ścieżkach i gościńcach, które pola i łąki krzywymi przerzynały paskami.

Cisza wieczoru i jesieni kołysała świat Boży do spoczynku...

W otwartym oknie krakowskiego zamku, na pierwszym piętrze, siedziało przepiękne dziewczę.

Odbłyśk wieczornego światła cudownie lice jej łagodnym swym blaskiem oblewał. Siedziała jakby za wzór służyć miała do obrazu Luiniemu, Bellinowi, jednemu z tych mistrzów włoskich, którzy ostatnie ideały niewieście, jakby żegnając się z nimi, na płótno przenieśli.

Twarzyczka dziwnie regularnych rysów, świeża acz blada, przypominała też Kameę ręką mistrza na kamieniu drogim wyrzeźbioną.

Smutek i tęsknota poetyczny wyraz nadawały temu obliczu madonny.

Patrzała przez okno na dalekie błonia, lecz pewnie nie widziała nic, oprócz tego co się na tle ciemnym jej duszy malowało. Przechodziły po niem jakieś cienie przeszłości czy nadziei.

Nieruchome oczy czarne pływały jakby we łzie, która napełniała powiekę i upaść z niej nie mogła, tak jak tęsknica jej z duszy się na świat wydobyć.

Była to piękność niezwykajna. Klasycznego wdzięku rysy marmurowe, śmiałymi ale łagodnymi razem liniami wyrzeźbione, otaczał bujny włos, spleciony w części i na ramiona w puklach puszczonej, tej barwy osobliwej, którą weneccy upodobali malarze. Ciemne brwi, czarne oczy, odbijały dziwnie od warkoczów złocistych, jaskrawych nawet, tak barwa ich była silną. Małeńkie usteczka, ściśnięte teraz, boleśnym się zamknęły uśmiechem i zdawały się wyrzucać zawód losowi i światu, przeznaczeniu i ludziom.

Jakby stężała tym bólem, siedziała nieporuszona, ręce spuściwszy na kolana. Wypadła z nich dawno robota, haft kolorowy na jedwabiu, leżała razem z kłębuszkiem u nóg jej – we wgłębieniu okna, które w grubym murze siedziało, oprawne jakby w ramę, małeńką wykutą w nim izdebką.

Strój dziewczęcia był smakowny bardzo i wytworny. Suknia z ciężkiej jedwabnej tkaniny mieniąca się zielono i płowo, cała była naszywana wstęgami, jedwabnemi sznury, kokardami

i paciorkami szklannymi. Odpowiadał jej bogato ozdobny pas wysadzany z torebką, a trzewiczek, którego koniec z pod sukni wystawał, także był do całego stroju dobrany.

Komnatka oknem tem słabo oświetlona, nie zbyt przestronna, sklepiona wdzięcznie w górze, malowana i złocona, pomimo półmroku jaki w niej panował, miała w sobie coś młodego i wesołego, jakby na szczęśliwe gniazdko przeznaczoną była.

Smutna twarz na jej tle wydawała się dziwnie.

Wszystko co w tym wieku XVI., lubującym się w wytworności, woni, kolorach, przepychu, nagromadzić było można, aby jak cacko przyozdobić mieszkanie pieściszki-dziewczęcia, złożyło się na ubranie pokoiku.

Posadzkę marmurową, której tylko u progu domyślać się było można, okrywał wschodni kobierzec przedziwnej harmonii farb najsmielej pożenionych z sobą... marmurowy komin zdobiły dwie karjatydy niewieście, uśmiechające się mimo ciężaru gżemsu, który dźwigały. Opasywały je wieńce kwiatów i liści z wielkim kunsztem rzucone. Po nad niemi wisiało weneckie zwierciadło w ramach jak brylanty połyskujących z ozdób szklanych, a na gżemsię stały cudne fraszki ze szkła, majoliki, złota i srebra wyrzeźbione.

W jednym z naczyń wiądnął bukiet kwiatów jesiennych.

Przy jednej ze ścian stały siedzenia z drzewa misternie rzeźbionego, po których biegały jakby nici złociste. Stół okryty lekkim kobiercem cały prawie zarzucony był też fraszkami, które kształtami swemi pociągały oczy. Stały na nim skrzyneczki

sadzone na hebanie, kością słoniową, bursztynem i złotem, puszki form wykwintnych, na których pokrywach unosiły się posążki, kubki przeróżnych wielkości i postaci. Razem z rzuconą niedbale na nie chustą jedwabną, składały także obrazek wdzięczny i bogaty.

Na jednym z krzeseł widać było od niechcienia ciśniętą piękną cytrę, również wysadzaną kunsztownie, ze wstęgą niebieską. U komina, w przyciemnionym kąciku, pół otwarte drzwi, które przysłaniała ciężka przed nimi zawieszona draperya, dozwalały dojrzeć w drugiej izdebce łóżko o rzeźbionych słupkach, o jedwabnych płótkach, nad którego pokryciem unosiły się piór bukiety.

Wszystko tu miało wyraz miękkości, rozpieszczenia, rozkochania się w życiu, rozmarzenia w rozkoszy. Smutne dziewczę wśród tych zbytków i cacek raziło jak sprzeczność niezrozumiała.

Wczoraj jeszcze wszystko tu być musiało śpiewem, szczęściem, weselem, zapomnieniem smutków życia – a dziś?

Dziś z opuszczonemi bezwładnie białymi rączkami, na których palcach połyskiwały pierścienie kosztowne, siedziało dziewczę jak ptaszek w klatce, zadumane, skamieniałe.

Wieczór zwolna tracił jaskrawe blaski zachodu, barwy oddalenia szarzały i mgła jakaś jak pół przejrzysta zasłona zdawała się je od patrzącej oddzielać.

Jedna po drugiej niknęły barwy, zacieraly się kształty, zlewały przedmioty – dal ginęła już w pół mrokach. Tylko na

rzece odbijał się jeszcze gorący blask słonecznych promieni... i gdzieś tam maleńkie szybki domostw połyskiwały jak oczy dziwotworów. Lecz dziewczę lub nic albo mało co widzieć się zdawało.

Nagle czy chłód wieczorny owiał ją, czy myśl jakaś wstrząsnęła całą istotą – zadrżała, zachnęła się, rękę przyłożyła do czoła, i westchnienie z piersi w świat poleciało niesłuchane, stracone. Dziewczę tak było w sobie i tęsknicy swej pogrążone, iż nie słyszało nawet, z cicha wprawdzie ale coraz wyraźniej dających się słyszeć kroków, które z drugiej komnaty ku drzwiom się zbliżyły. Z szelestu szat domyśleć się było można kobiety.

Powoli szła, szukając oczyma i nie znajdując smutnej mieszkanki tego wesołego kątku.

Stała w drzwiach, ciekawie wypatrując za nią, i teraz można ją już całą widzieć było.

Była to pani lat średnich, na której licu nieco zmięknęło i rozlanem, znać było szczątki nadzwyczajnej piękności. Wszystko, czego wiek nie mógł zepsuć i nadwreżyć, świadczyło o niej.

Włos nigdyś jasny, oczy dziwnej barwy nieoznaczonej a jeszcze osobliwszego wyrazu, rzymski nosek, nieco wypełniony już podbródek, czyniły razem wziętą fizyognomię tę podobną do jakiejś żony Cezara ze starej rzymskiej monety.

I wyraz też godził się z tym charakterem.

Namiętny był, despotyczny, jakby pragnący i wyzywający do

walki. Nic łagodnego, niewieściego, dobrego w tej chwili nie rozjaśniło tego profilu pełnego dumy i namiętności.

Głowa w bogatych klejnotach i zawiciu, wyniosła szyja biała, popiersie pełne a kształtne jeszcze, godziły się z figurą majestatyczną i pańską.

Strój, pomimo wieku, bo młodą już nie była, wytworny a nadewszystko bogaty i wspaniały, okazywał, że do najwyższego społecznego kręgu należeć musiała. Suknię czarną, dobrze barwą obrachowaną, aby świeżość płci podnosiła, aksamit, atłasy, koronki, jedwabne wstęgi i szycia ubierały bogato. Na piersiach miała złoty łańcuch misternej, delikatnej roboty, wyrób weneckich lub genueńskich złotników – podobne ozdoby widać było u pasa, a białe, pulchne ręce tak okrywały pierścienie kosztowne, iż niektórych palców końce zaledwie widać było.

W tej chwili namarszczone groźno brwi, zaciśnięte wargi blade, wzrok zaostrowany niepokojem, nadawały przybliżającej się pani wyraz, który mógł przerazić słabą istotę.

Lecz nadchodząca nie zdawała się przybywać tu dla wywarcia tego gniewu, który niosła w sercu, szła ostrożnie, nie chcąc przestraszyć. Stała w progu, jakby potrzebowała się namyślać czy wnijsć miała.

Wpatrzyła się w dziewczę zadumane, ręką uchyliwszy ciężką zasłonę u drzwi, i stała, stała długo, nim w końcu umyślnie poruszyła portjerę, aby dać znać o sobie.

Dziewczę porwało się przestraszone, potrzebując chwili do opamiętania gdzie było.

Zatopione w myślach, straciło poczucie i pamięć rzeczywistości.

Wchodząca pani, która od progu powolnym ku niej przybliżała się krokiem, nadała twarzy przed chwilą gniewnej i zasepionej, wyraz nienaturalny, wymuszony, dobroci i łagodności.

Lecz, pomimo wysiłku, tak nie przystawał on i niezwyčajnym był licu nawykłemu do swobodnego wyrażania gwałtownych namiętności i wybuchów woli żelaznej, że jak gość przelotny, mający zniknąć rychło, zdał się pożyczanym i fałszywym.

Dziewczę zobaczyło nadchodzącą i jakby zawstydzoną, na uczynku schwythane, drobnymi kroczkami pospieszyło zniżyć z dwóch wschodków, które wgłębienie okna od pokoju oddzielały.

Stanąła naprzeciw tej, która tu widocznie panią była.

Z politowaniem przysunęła się niewiasta starsza do dziewczęcia, i nie mówiąc nic jeszcze, ręką białą pogłaskała ją po twarzyczce, która zwiśla na piersi smutnie.

Oczyrna rzuciła po izdebce; tuż u stołu, jakby nagotowane dla niej, stało krzesło wielkie, jedyne jakie się tu znajdowało. Przybyła rzuciła się na nie, oparła twarz na rękę i przed chwilą łagodne rysy znowu posepnym gniewem zciemniały.

Dziewczę stało zwrócone ku niej.

– Płakałaś, Dżemma! widzę to po twoich ślicznych oczach!  
– odezwała się po włosku, ale w jej ustach nawet ta mowa

muzykalna nie brzmiała harmonijnie; szorstko, ostro leciały z pod warg drżących wyrazy. – Dziecko jesteś!...

Wiesz już! tak! wszyscy wiedzą! Nie mogłam zapobiedz! tak! ale biada temu, co ze mną rozpocznie wojnę; ja nigdy nie uznam się zwyciężoną i nie złożę oręża. Ja zawsze na swoim postawić muszę. Żenią go więc z Austryaczką!

Uśmiechnęła się złośliwie.

– Teraz, Dżemma, ty mi jesteś najpotrzebniejszą, teraz zdobędziesz trwale, na zawsze serce jego. Biada tej istocie, która tu mimo woli mojej się wciska, aby mi syna odebrała!

Nigdy! nigdy! – zawołała, zapominając się i tupając nogą.

W czasie gdy to mówiła więcej sama do siebie niż do słuchającego pokornie z oczyma spuszczonego dziewczęcia, ręce jej były w ruchu nieustannym, twarz mieniła się i wykrzywiała, brwi ściągaly, usta momentami karykaturalnej maski przybierały charakter. Straszna jakaś burza wrzeć musiała w żywo falujących piersiach.

– Słuchaj, Dżemma! – rzekła podnosząc się nieco. – Nie czas płakać, nie powinnaś mi być smutną, musisz być piękniejszą niż kiedykolwiek; musisz to serce jego, które miałaś, któregoś nie straciła, nie tylko zachować, ale je okuć w kajdany... Ja na ciebie rachuję, tyś moim orężem... ale w zamian ci dam...

Tu wstrzymała się nieco i dodała:

– Obsypię cię złotem, dam ci najświetniejsze obok tronu stanowisko... wybierzesz je sama! Zrobię cię księżną, panią ziem szerokich...

Dżemma sobie obiema rękami oczy zakryła.

– A! królowo! pani – odezwała się głosem słabym – ja nic, nic, niczego nie żądam oprócz serca jego. – I łzy polały się z jej oczów.

Uśmiezek przesunął się po białych ustach królowej, położyła palec na wargach.

– Cichoż! nie płacz! Pracować trzeba, wyteńczyć wszelkie siły, aby zwyciężyć. Nie masz się obawiać czego. Powinnaś mnie znać. Jesteś przy mnie prawie od dzieciństwa... patrzałaś na to ilem tu walk zwodzić musiała, a zwyciężyliż mnie kiedy oni?

Wszyscy ci sędziwi, poważni senatorowie, całe to mądre duchowieństwo, krzykliwa ich szlachta, mówcy, intryganci, wysilali się na to, aby wpływ mój osłabić, aby mi go odebrać, a mimo to rosnał on z każdym dniem. Nigdy mocniej nie czułam się panią, nigdy nią nie byłam tak...

Tu przerwała sobie królowa.

– Powiesz mi, że to małżeństwo przeprowadzili przeciwko mej woli. Tak, ożenieniu zapobiedz całkiem nie było podobna, kraj cały się go domagał. I ja nie chcę aby zmarł bezpotomnym, ale na to czas wielki jeszcze. Teraz mi go żona odebrać nie powinna, bo panować z nim, jak panowałam z ojcem, potrzebuję.

Dopuściłam Austryaczkę – mówiła ciszej, po komnacie wodząc oczyma niedowierzającymi – dlatego że ten wątły kwiatek prędko tu zwiędnąć musi... dlatego, że każda inna mogłaby zwyciężko wyjść z tej próby jaka ją czeka, ona zaś paść musi!

Wstała z siedzenia.

– Dżemma! pociesz się – poczęła żywiej. – Wiozą mu tę żonę, ale to jedzie ofiara przeznaczona na zgubę. Z zarodem śmierci tu przybędzie... On, on nigdy mężem jej rzeczywistym nie zostanie...

Dla dziewczęcia słuchającego chciwie wszystko to były rzeczy mało zrozumiałe, nie rozwikłane, lecz nawykła wierzyć w słowa tej, która przyszła ją pocieszać, uczuła w sobie odradzające się męztwo... Twarzyczka jej blada poczęła zlekka się zarumieniać, piękne czarne oczy śmielej podniosły, duch znowu wstąpił w znękaną.

Milcząc schyliła się do ręki królowej i złożyła na niej pocałunek, za który pogłaskanie zapłaciło.

– Nie dręcz się, nie smuć – mówiła pani, starając się głosowi nadać łagodność, choć gniew brzmiał w nim jeszcze. – Nic nie szkodzi piękności nad troski, a ty, ty szczęśliwa nie masz się troskać o co! On ciebie jedną kochał i kocha, od czasu jak się ta miłość zrodziła.

To dziecko moje, dla mnie on nie ma tajemnic! Dżemmo! trzeba przetrwać tę burzę, która będzie może gwałtowną ale krótką. Powtarzam ci, nie byłabym nigdy zezwoliła na to małżeństwo, gdybym pewną nie była, że je rychło śmierć rozerwie.

Mimowolnie wzdrygnęło się dziewczę słuchając.

– Nic bój się – odparła śmiejąc się królowa – nie potrzebuje jej tu zabijać nikt, śmierć ona sama z sobą przynosi.

Oczy dziewczęcia domagały się odkrycia tej zagadki, ale brwi królowej zbiegły się groźnie i dodała:

– To moja tajemnica!

Palec przyłożyła do ust.

– Bądź wesołą... gość ten przemknie się jako cień, a ja nie dopuszczę, aby on ciebie dla niej na chwilę opuścił... Będzie żoną i królową, ale ani jego serca, ani panowania nie dotknie... To ofiara!... Cóżem winna, że nam ją narzucono?

Dżemma chwyciła słowo każde, ale się odezwać nie śmiała.

Mrok wieczora poczynił coraz większe ciemności rozpościerać w tych mało oknami rozjaśnionych komnatach. Królowa silnie klasnęła w dłonie raz i drugi, i z za zasłony od sypialni ukazała się główka niewieścia.

– Światła! – zawołała pani... i prędko złożywszy pocałunek na czole Dżemmy, czekała tylko natychmiast zjawiających się świec, aby szybko za nimi wyjść z mieszkania Włoszki.

Mając ją już opuścić, szepnęła jeszcze na ucho:

– Dżemmo! bądź piękną i wesołą... Smutnej twarzy on nie lubi. Udawaj że nie wiesz nic... Śpiewaj mu i uśmiechaj się do niego. Tyś panią i tyś serca jego królową...

To mówiąc, wyszła poważnym krokiem, a pozostała w miejscu Dżemma oczy sobie zakryła i trzymała tak ręce przytulone do twarzy, aż póki służąca powracająca ze światłem, z zadumy ją nie rozbudziła.

Dwie młode służebne królowej czekały na nią ze świecami

w ciężkich srebrnych lichtarzach, a drugie dwie, jednako ubrane wszystkie, iść miały za panią, niosąc wachlarz, rękawiczki, chustkę i okrycie. Wolnym krokiem postępowała pani, przechodząc naprzód izby, które dwór jej żeński mieściły, mniej daleko wytworne niż pokoje Dżemmy, potem kurytarzy, część i galeryj zamkowych, z których widok był na podwórca wewnętrzne.

Baczne oko królowej rozpoznawało tu wśród koni, służby, kolebek i orszaków osób, które się na zamku znajdowały, barwę każdego dworu i zaprzęgi panów. Naprzemiany ruchoma i wrażliwa twarz jej dumna to się rozjaśniała, to chmurzyła.

Byli to jej sprzymierzeńcy i nieprzyjaciele, bo wyższe klasy społeczeństwa dzieliły się wówczas na dwa obozy nieprzyjacielskie, walczące ze sobą jawnie, które choć się czasem ocierać musiały o siebie, przejednać się nie mogły. Na czele jednego z nich stała królowa Bona, która sama wszystkim rządzić chciała i wymagała, aby się jej Polska poddała a legła u stóp pani, aby mogła czynić z nią co jej się żywnie podobało – drugiemu zdawał się przewodniczyć król Zygmunt Stary, ale w tej dobie życia dziwnie zobojętniały, z góry spoglądający na wszystko, co się działo na świecie, nie miał ani sił, ni ochoty do wojny.

Z majestatyczną powagą, z rodzajem filozoficznej ironii patrzył on, uśmiechając się, na igraszki losu, na gniewy aż do wściekłości posuwające się żony, na opór, który jej dostojni mężowie senatu stawili, na zwycięstwa kolejne swoich przyjaciół

i zauszników Bony. Coś z milczącego, zimnego, wytrzymałego charakteru ojcowskiego miał w sobie Zygmunt i w wielu razach go przypominał, przewyższając tylko wielkim majestatem, dostojnością, o którą dbał, i ociężałością, jaką lata ostatnie ściągnęły.

Przyjaciele, zausznicy, sprzymierzeńcy, ulubieńcy Bony brali z każdym dniem górę, a król nie zdawał się oceniać nawet klęski jaką ponosił.

W jednej tylko sprawie małżeństwa syna z powinowatą blizko Elżbietą, wnuczką Władysława czeskiego, bardzo dawno umówionem, któremu Bona uparcie się sprzeciwiała – król właśnie energiczniejszym objawem woli zwyciężył. Małżeństwo zostało postanowione. Bona się oprzeć temu nie mogła, ale poprzysięgła zawczasu zemstę i prześladowanie tej, która mimo jej woli miała przybyć, odebrać serce syna, może męża, i dzielić, jeśli nie wydrzeć, jej panowanie.

Przechodząc kurytarze, królowa rzucała oczyma roztargnionemi, z wyrazem gniewu, na ludzi, których pomijała.

Wszyscy oni niemal, znając tę twarz pani, starali się przesuwać niepostrzeżeni – Bona była rozdąsana i gniewna!

W tych chwilach rozdrażnienia wiedziano, jak najmniejsza rzecz do szaleństwa mogła przyprowadzić panią, która namiętności swych ani ukrywać, ni hamować się nie starała.

W komnatach, które zarówno do izb króla i królowej prowadziły, gdzie się wielu oczekujących na posłuchania gromadziło, gdzie spoczywali dworzanie pana i pani, komornicy

królewscy, dwór duchownych przybywających na zamek – niedaleko od tych podwoi, któremi Bona wnijsć miała na pokoje swoje – stał jakby umyślnie na przesmyku postawiony mężczyzna w cudackim ubraniu, z niemniej oryginalną fizyognomią, na którego patrząc zdala dworzanie chichotali, ukazując go sobie.

Wystrojony ów średnich lat mężczyzna, wcale się na to zważać nie zdawał.

Za panowania Zygmunta w Polsce, jak nigdy, namnożyło się było strojów tak rozmaitych, tak dziwacznych, z różnych stron świata pochwyconych, iż narodowej sukni, jak świadczą współcześni pisarze, prawie oznaczyć nie było podobna.

Staroświecka, prosta opończa jedna ją zastępowała.

Wśród tej mnogości ubrań włoskich, tureckich, francuzkich, niemieckich, czeskich, wiele raziły dziwactwem, ale właśnie przez to tych co je nosili pociągały. Zwracały oczy na nich, czegoby w inny sposób nie dostąpili.

Stojący u drzwi mężczyzna, Petrek Dudycz, na teraz komornik królewski, choć komory pańskiej wcale nie patrzył, wyglądał nader osobliwie.

Nie młody, przystroił się kuso, nader barwnie, niby z włoska, bez smaku, a jego sucha, długa, koścista figura w obcistej odzieży, jeszcze się chudsza i przeciąglejsza wydawała. Na obnażonej szyi opalanej, którą żyły oplatały, siedziała głowa niewielka, z włosami rzadkimi, starannie utrefionemi i twarzą pocieszoną a brzydką.

Krağła, płaska, oprócz mocno wystających policzków,

z oczkami małemi, twarz ta się odznaczała nosem ledwie dostrzeżonym, siedzącym na niej jak spore zaczerwienione ziarno bobu, i niezmiernie od niego oddalonymi ustami szeroko od ucha do ucha rozciętymi. Przestrzeń stosunkowo wielką pomiędzy noskiem a gębą chciał zająć wąsik, wymęczony ale nieobfity i nastrzępiony.

Brzydki był okrutnie Dudycz, a bardzo mu się pięknym być chciało, co dowodził ów ubiór z włoska, wykwintny, kosztowny, krojem wymuszonym – czyniący go jakąś maskarą.

Dudycz, niegdy ubogie chłopię, wątpliwego szlacheckiego pochodzenia, służył na dworze owego sławnego podskarbiego Kościeleckiego, po którym Boner wziął żupy.

Kościelecki ten nieszczęśliwy rozmiłował się w Szlązacze owej, którą ze sobą dawniej przywiózł Zygmunt, matce Janusza z książąt litewskich, i poślubił ją, mimo że kochanką królewską była.

Nie przebaczyli mu tego bracia, zerwawszy z nim, i takie go od nich i od panów a szlachty spotykały despekta, że zagryzłszy się zmarł biedny.

Przy tym wielkiego męztwa, najpiękniejszych duszy przymiotów mężu, który serce tylko miał miękkie, Dudycz spędził długie lata – a że do żup był przez niego przeznaczonym, z soli się dorobił majątku i stał się człowiekiem dostatnim.

Śmiali się z niego ludzie, bo i zająkliwym był i śmiesznie wyglądał, ale kaletę miał nabita, więc mu się podczas i kłaniał niejeden.

Jakim sposobem Dudycz dostał się na dwór pański i komornikiem go mianowano, o tem on tylko wiedział jeden.

Na zamek się dostawszy, umiał tak się z ludźmi obchodzić, że choć królowi służył, choć ks. Maciejowskiego w rękę całował, niemniej nizko kłaniał się Gamratowi, a na pokoje królowej miał wstęp dozwolony.

Nikt go tak dalece nie kochał, ale też nikt nie wzdragał się i nie odpychał.

Dudycz miał pewnie lat przeszło czterdzieści, był dotąd nieżonatym, i teraz dopiero zamyślał wstąpić w święty stan małżeński... serce miał miękkie i wielką miłością zapałał dla – nie do uwierzenia – najpiękniejszej z dziewcząt dworu królowej Bony, dla tej uwielbianej, opiewanej Dżemmy (Gemma) Pagliari, na której cześć poeci składali ody... a po cichu mówiono, że młody król Zygmunt August oddawna śmiertelnie w niej był rozkochany.

Zuchwalstwemby to było niedarowanem Dudyczowi, gdyby Dżemma nie była ubogą, ubogą jak myszka kościelna, a on nie patrzył już na pana.

Wiedziano, że pan komornik kilka wsi posiadał w Krakowskiem, a oprócz tego na groszu mu nie zbywało.

Dziewczę patrzeć na niego nie chciało, mówiło, że wstręt w niej wzbudzał nie do wyrażenia... ale królowa Bona opiekunka Dżemmy, zajmująca się jej losem, wiedziała dobrze o tem, iż Dudycz wdychał do pięknej Neapolitanki, uśmiechała się czasem złośliwie i nie wypędziała go, nie zrażała. Owszem

zdawać się mogło czasami, że do wytrwania zachęcała, że mu jakieś czyniła nadzieje.

Dudycz był jej widocznie na coś potrzebnym.

Ci, co na zamku krakowskim i na dworze królewskim stosunki mieli a wiedzieli co się tam działo, utrzymywali, że królowa zarówno miłośkom syna pobłażała, nietylko na nie patrzyła przez szpary, ale nieznacznie do nich dopomagała i ułatwiała je tajemnie.

Dżemma była u niej w wielkich łaskach, a od niejkiego czasu mianowicie pieśczołką i ulubienicą. Królewicz ze swej strony, matka od siebie obdarzali śliczną dziewczeczkę, obsypywali wszystkim, czego tylko zapragnąć mogła.

Jak się u królowej starej godziło protegowanie Dudycza i sprzyjanie miłości syna, dla wielu było zagadką.

Jak dziś, tak niemal codzien Petrek Dudycz szukał wszelkich zręczności pokazania się i przypomnienia Bonie, pochwycenia od niej słówka, rozkazu, skinienia, na których budował nadzieje.

Stał i teraz na przesmyku, spodziewając się że wracająca królowa obdarzy go choć uśmiechem, ale nadchodząca pani niosła na twarzy zachmurzonej jak noc, w brwiach zmarszczonych, tylko gniewu i złości zapowiedź.

Spojrzała na stojącego u drzwi długiego Dudycza i zatrzymawszy się na oka mgnienie, skinęła mu aby wszedł za nią. Komornik posłuszny wcisnął się we drzwi razem z idącymi za królową dziewczętami. Bona dała im znak, aby szły dalej, a sama podniosła oczy na Dudycza, który pochylony czekać się

zdawał rozkazów.

Przez chwilę namyślała się królowa. Myśl jakąś musiała rozważyć jeszcze. Dudycz nie mówił po włosku, ale ze szkół i życia wyniósł trochę łaciny, a królowa doskonale, wprawnie i wytwornie mówiła tym językiem.

– Cóż Dudycz? – zapytała – masz tam dużo do roboty przy starym panu?

Petrek się uśmiechnął.

– Nic a nic – rzekł jękając się powoli – moja służba stać kilka godzin w antykamerze, aby gawiedź się śmiać miała z kogo. Nikt nigdy nie raczył mnie użyć do niczego. Marszałek oczy odwraca.

– Bo jest ich tam dosyć przy moim panu – dodała Bona żywo, chcąc skrócić rozmowę. – Powinieneś szukać innej służby... Młody król się żeni, wiesz? – dodała ze złośliwym przekąsem – wiesz? Służby więcej albo dla siebie lub dla żony potrzebować będzie. Życzę ci, abyś się tam zapisać starał.

Dudycz skłonił się posłusznie.

– Byleby mnie przyjęto – zamruczał.

– O to się postaramy – dokończyła Bona, już zwracając się jakby w głąb pokojów swych pilno jej było – ale Dudycz ma pamiętać, że gdziekolwiek jest i będzie, przede wszystkim *moim* ma być sługą.

I ręką wskazawszy na siebie, Bona oddaliła się krokiem nieco przyspieszonym.

Dudycz krótką chwilę pozostał zadumany w progu, sam jeden – otworzył potem drzwi i powrócił do antykamery, w której cichy

gwar dworzan i komorników panował.

Na ławach pod oknami w pół mroku niektórzy grali w warcaby i szachy, inni śmiejąc się stłumionymi głosami coś sobie rozpowiadali. Siedzieli jedni, przechadzali się drudzy, a niektórzy śmielsi, przez drzwi otwarte i tylko kurtyną z kobierca oddzielone od antykamery, zaglądali do dalszych pokojów, w których głębi dopiero król stary swych gości przyjmował.

Dudyczowi wśród tego towarzystwa, dla którego się czuł obcym, było też nieswojo. Nikt spotykając się z nim nie okazywał ochoty do rozmowy, żaden z dworzan nie zbliżył się do niego. Dlaczego tego wieczora dłużej chciał tu pozostać, sam może nie wiedział. Spodziewał się li jakim przypadkiem choć przesuającą się zdala widzieć Dżemnę?

Po krótkim namyśle Dudycz ostrożnie się przesuając, tak aby nikogo z zebranych tu kupkami nie potracił, doszedł do kurtyny, podniósł ją i cicho stąpając wsunął na puste pokoje.

Szeregiem stały one otworem, mało co oświetlone, nie było w nich prawie nikogo. Przesuwały się pacholeta niosące do króla dzbany srebrne na misach złocistych, służba zamkowa i jakieś postacie do rozpoznania trudne.

Z ostatniej komnaty dość oddalonej, w której król zasiadał, zaledwie niekiedy głosy tu dochodziły. Ciszą i mrokiem obleczone stały puste izby te, dosyć wspaniałych rozmiarów, ale jak na królewskie dość przybrane skromnie.

Ławy okryte poduszkami i kobiercami stały ciężkie, krzesła

na których poręczach rzeźbionych gdzieniegdzie połyskiwało złocenie, na ścianach obrazy ciemne, na innych malowania splotałe, od sklepień wiszące świeczniki z niepozapalaniem żółtymi świecami – nie widać było nic więcej.

Dudycz wszedłszy tu, zwolnił kroku, mógł spocząć na ławach pustych i rozmyślać bez przeszkody... Nikt mu tu ani śmiechem, ni rozmową nie wadził. Posunął się, przeszedłszy pierwszą komnatę, do drugiej, w której więcej cokolwiek światła było. Oprócz kilku świec przy ścianach, przez okno na podwórce wychodzące wpadał blask pochodni, których kilka niezgaszonych palili woźnice i pacholki pańscy.

Petrek miał już sięść w kącie i opatrywał miejsce, gdy zwróciwszy w głąb oczy, zobaczył naprzeciw siedzącego na ławie, rozpostartego wygodnie, z nogą na nogę założoną, starca.

Należać on musiał do dworu, a nie był ani wysokim urzędnikiem, ani pospolitym posługaczem.

Sam wiek jego podeszły świadczył, że tu jakieś odrębne stanowisko zajmował.

Dudycz zobaczywszy starca, zatrzymał się z pewną obawą i poszanowaniem razem.

Postać była niepowszednia.

Blask od okna bijący oświetlał ją ostro, wydatnymi czyniąc rysy, którym starość nie odjęła życia, jakie w nich drgało.

Twarz była długa, czoło wysokie, wypętlę, usta ironiczny, łagodny uśmiech trzymał jakby obojętnością zamknięte na wszystko, co oczy przeszywające chwytały. Marszczki

niezliczone, fałdy i zapadliny, jakby siecią poszarpaną okrywały policzki aż do czoła, które było wygładzone i lśniące... tam na sklepieniu, gdzie królowała myśl, panowała pogoda.

Rodzaj litościwej wzgardy wybitny charakter nadawał pięknej tej głowie filozofa.

Nie w rysach, ale w ich znaczeniu było coś Sokratycznego.

Widać było, że człowiek ten wiele cierpieć, wiele przeżyć a wszystko już lekceważyć musiał. Salomonowe *vanitas vanitatum* mówiło z każdej z tych uśmiechających się marszczek. Lecz gniewu w tym śmiechu nie było.

Ubiór wcale się na królewskie nie nadawał pokoje. Miał na sobie suknię długą na kształt opończy, z kapturkiem, pod którą innego domyślać się było można stroju.

Rękę jedną suchą, pomarszczoną, żyłastą trzymał opartą na rodzaju kija, który sam tylko tłómaczył kim był ten starzec, spoczywający tu na ławie jak gdyby był u siebie w domu.

Do kija tego pstrego przyczepionych było kilka lisich ogonów i dzwonek, którym serca wyjęto, aby brzękiem nieustannym nie dokuczały.

Starcem tym był ów sławny królewski trefniś, Stańczyk, który już trzem królom, trzem braciom rzucał w oczy prawdę gorzką, sarkazmem Nielitościwym i gryzącym.

Kto on był, ów Stańczyk, którego szanowali wszyscy, bał się każdy – starzec, co innego życia nie pożądał i spoczynku nie zapragnął, o tem już nawet pamięć się zatarła.

Mówiono go szlachcicem i miał powagę swego stanu, podanie

głosiło niegdyś żołnierzem, który życie ledwie uniósł z Bukowiny za Olbrachta... a potem? jak się wyrzekł szczytu i nazwiska, jak spadł czy podniósł się aż do trefnisia na dworze, gadki chodziły różne. On sam o sobie nie mówił nigdy. A znał całą Polskę, wszystkie rody, ludzi, związki, charaktery, jakby żywą był kroniką.

Na prawdę nie trefnisia on tu miał urząd i obowiązki, bawił rzadko, chociaż boleśnie często, odzywał się mało. Błądził po zamku i uśmiechał się sam do siebie. Gdy kto mu rzucił pytanie, jeżeli na nie odpowiedzieć raczył, to po długim namyśle i kilku krótkimi słowami, często jak ostrze noża włoskiego, wbijającemi się w pierś i pozostającemi w pamięci na zawsze.

Nie dziw, że Dudycz niewymowny, bojaźliwy, znalazłszy się oko w oko wobec tej potęgi, której się lękał, nie wiedział co ma począć – cofnąć się po cichu, czy pokłonić, odejść spiesznie czy się zbliżyć.

Stańczyk już miał wlepione w niego oczy. Karykaturalna ta postać bawiła go... usta zamknięte nieznacznie się ściągnęły.

– Siadaj Petrek – odezwał się stary wskazując na ławę. – Cóżes się ty tak dziś wystroił jakby w swaty lub na wesele? A po nocy tu u nas wszystkie koty czarne i moja stara opończa warta twojego nowego sajanika.

Dudycz nie wiedział co odpowiedzieć, lecz nie śmiejąc się sprzeciwiać, zajął miejsce na ławie w przyzwoitem od trefnisia oddaleniu.

Stańczyk za nim powiódł głową.

– Słuchajno – rzekł – tyś się to do bab tak przystroił? Czy one jeszcze nie dojadły ci dosyć?

Powstał Dudycz i głową potrząsnął.

– Jam ich znać nie miał czasu.

– A teraz osolony, bezpieczny – rzekł Stańczyk – myślisz na drugie pół wieka puścić się gonionego! Hej! taniec to niebezpieczny!

Spuściwszy głowę słuchał nauki Petrek, nie ważył się ust otworzyć.

– Powiał wiatr żeniący – zamruczał Stańczyk – młodemu królowi dają panią. Zaprawdę czas aby miał jedną, nakosztowawszy się ich tyłu...

Drgnął Dudycz niecierpliwie i poruszenie to ławie zapewne a Stańczykowi się czuć dało.

– Fraucymer starej pani odetchnie – mówił – gdy królowę przywiozą, a piękna Dżemma oczy śliczne wypłacze!!

Na wspomnienie swej bogini, bo tak ją Dudycz nazywał, żywo się znowu poruszył dworzanin.

– Dżemma! – powtórzył głosem dziwnym, w którym więcej coś brzmiało, niż pytanie obojętne.

Stańczyk popatrzył nań złośliwie.

– Włoszkę chciałbyś sobie wziąć – przerwał trefniś – ale dla nas Polaków, powiadam ci, wszelka włoszczyzna niezdrowa. Zjeść ją można, smakuje czasami, strawić trudno.

Mówił nie spuszczając oczu z Dudycza, a twarz śmiała mu się smutnie, tą mieszaniną bólu i ironii, która jest zwątpienia

ludzkiego cechą.

Niekiedy zjawia się ona w fizyognomiach filozofów, czasem na licu szalonych. Schodzą się w niej mądrość i obłąkanie.

Dudycz wahał się ust otworzyć, wstyd mu było przed tym szydercą do słabości swej się przyznać.

Stańczyk, który zgadywał czego wiedzieć nie mógł, czytał w tym biednym Petruku jak w otwartej książce.

– Po co ci się kręcić i wisieć przy dworze – począł z cicha.  
– Dorobiłeś się z soli chleba, możesz mieć do woli jednego i drugiego... a służyć ci się chce! Nałóg do jarzma! kark świerzbi, gdy go co nie gniecie! Jechałbyś rzepę siać i Boga chwalić.

Dudycz się czuł dotkniętym.

– Cóż to ja? dworum nie wart? prostak taki! – zamruczał.

– He! – zawołał stary – może ten dwór nie wart i ciebie!

Ramiona mu się poruszyły, odwrócił głowę. Petrek pod nosem sobie coś mrucał nadąsany.

– A wy? czemu przy dworze wisicie? – dało się słyszeć w końcu. – Hm!

Trefniś twarz skierował ku mówiącemu, wyciągnął ogromną rękę swą i ciężko rzucił ją na ramię Dudyczowi.

– Prawdę mówisz – rzekł – i jam tu na nic. Stary król ogłuchł, więc nie słyszy co Stańczyk prawi, młody słuhać nie ma czasu, królowe tylko trefnisiów lubią... a no, mnie już tu nie długo i nie mam dokąd, a ty...

Rozmowa przerwana została. W sąsiedniej komnacie króla

słychać było ruch i podniesione żywiej głosy, jakby goście, którzy tam byli, zabierali się do wyjścia. Dudycz zmieszany, nie chcąc aby go tu z trefnisiem razem na jednej ławie widziano, wstał żywo i nie pożegnawszy starego pospieszył ku drzwiom bocznym uchodząc.

Stańczyk pozostał... zadumany – obie ręce spartłszy na ławie, zgarbiony, z głową spuszczoną – nie podniósł nawet oczów, gdy głośno otwarły się drzwi komnat pańskich i na jasnym tle ich ukazały się poważne postacie senatorów niewielu, żegnających starego pana.

Przodem szedł podkanclerzy Maciejowski.

Na zamku krakowskim, który podówczas ciągle jeszcze restaurowano i przyozdabiano, ku czemu też z Włoch mnogich ściągano kamieniarzy, budowniczych, rzeźbiarzy, co kolonię italską, już i tak liczną z każdym dniem powiększało – na zamku nie było izb tak wiele, aby nawet najpotrzebniejszych królowi senatorów pod bokiem jego umieścić.

Znaczną część komnat zajmowały kobiety, służba, dwór starej królowej, która dla siebie ludzi wielu potrzebowała, a w miarę jak wpływ jej rosł, około Zygmunta stawało się puściej coraz, przy Bonie ludniej.

Ci nawet, których król nieustannie radzić się i posiłkować niemi musiał, na mieście szukali kwater u dostatniejszych kupców. I najwierniejszego a najniezbędniejszego doradcę pańskiego biskupa płockiego Maciejowskiego los ten spotkał,

że na zamku gościem bywał tylko, choć tu kancelarye się jego mieściły. Może też dostojny mąż ów rad był temu, że choć przez chwilę jedną dnia swobodniej, szpiegów, oczu i uszu niechętnych nie lękając się, mógł odetchnąć a z przyjaciół swemi się naradzić i spocząć.

Smutne zaprawdę było położenie tych niewielu doradców króla starego, którzy przy nim stojąc, resztę jego dostojenstwa ratując, całemu wojsku licznemu, nieprzebierającemu w środkach, zauszników Bony czoło stawić musieli. Coraz trudniejszą walka się stawała, a rycerzy do nich brakło. Szeregi zacnych mężów się przerzedzały... Król z każdym dniem starzał i stawał się słabszym. Dawna energia uparta Jagiellonów, żelazny opór ojca, miękkie złamane chorobą i umiejętnymi napaściami Bony, która znała dobrze małżonka i nie wahała się dla postawienia na swoim, uciekać do ostatecznych środków.

Naprzeciw Maciejowskiego ze spokojem, męztwem i powagą wiodącego bój ten z królową, stał ów osławiony, z małego wyrosły Gamrat, dzisiaj przeciwko kościelnym prawom i obyczajowi razem zasiadający na dwóch najwyższych stolicach biskupich, Gniezna i Krakowa. Kto był ten Gamrat, do którego się Sulimowie niechętnie dawniej przyznawali, o którym prawiono jak o Ciołku (a był jego wychowawcą i domownikiem), że w kurpiach z Podgórze, pieszo o kijku do szkół krakowskich przywędrował?

Człowiek-zagadka był niezawodnie wielce zdolnym i równie przewrotnym, odważnym, zuchwałym dorobkowiczem.

Ciołek, co z syna karczmarza doszedł za łaską Aleksandra najwyższych w kościele dostojnictw, był mu wzorem, królowa Bona narzędziem, jak on jej sługą i powiernikiem. Pomimo króla, który go nie lubił, pomimo wszystkich zacnych i poczciwych, co się nim brzydzili... mimo niesławy jaką był okryty, Gamrat dobił się czego tylko pragnął, i był wraz z Boną panem niemal Polski tej, której słabnący Zygmunt zwał się królem.

Około biskupiego pałacu przy Gamracie gromadziło się co służyło Włoszce, przy Maciejowskim i Tarnowskim hetmanie co wiernem pozostało królowi.

Kamienica, którą w rynku zajmował Maciejowski, gdy do willi swej nad Prądnikiem uciec dla spoczynku nie mógł, wprawdzie na zewnątrz od innych się nie różniła wielce, ani od nich była piękniejszą, ale wszedłszy wewnątrz łatwo się poznawało mieszkanie człowieka, który wykwintnego nabył smaku, długim za granicą, szczególnie w Włoszech pobytom.

Stosunki ówczesne dwu krajów były tak ścisłe, jakby ich wielkie nie dzieliły przestrzenie.

Małżeństwo królewskie z Boną ze Sforziów ożywiło je, lecz ono też było skutkiem bardzo dawnych i nieustannych Polski z Włochami związków.

Dość jest przerzucić spisy ówczesnych dostojników kościoła, profesorów akademii, lekarzy naszych, panów, wodzów, aby się przekonać, iż mało który z nich nie uczył się we Włoszech, nie wywiózł z nich idei, nauki, smaku, kierunku przyszłego życia.

Nie było miesiąca w roku, ażeby ktoś z Krakowa nie został wysłany do Rzymu, lub ztamtąd nie wrócił. Roilo się młodzieżą naszą w Padwie i Bononii. Uczyli się tam i katedry zajmowali Polacy, jak ów Struś, najślawniejszy z lekarzy w Polsce, który dla niej katedrę medycyny porzucił.

Podkanclerzy Maciejowski, liczny – dla samych spraw, które się w jego kancelaryi gromadziły – dwór młodzieży utrzymywać musiał. Ztąd mieli wyjść ci, co później zasłynęli na najwyższych dostojenstwach... tu się młodzież kształciła do praktycznego życia.

Oprócz niej, do Maciejowskiego się garnęło wszystko co z boleścią patrzyło na rządy Bony, faworytów, Gamrata, cudzoziemców bez miłości kraju wyzyskujących go... Tu, jeżeli radzić nie było można, zabołec otwarcie było wolno.

A bolano tem więcej, że przyszłość nie obiecywała się jaśniejszą, bo młody król Zygmunt August, którego teraz żenić miano, był więcej wychowanicem królowej niż króla, Włochów niż Polaków, fraucymeru Bony, niż rycerzy z pod Obertyna.

Liczny szereg izb na pierwszym piętrze składał biskupa Samuela mieszkanie, gdy na dole dwór i służba się ścisnęła, jako tako jak śledzie w beczce, niby na obozowisku żyjąc.

Nie było przepychu około biskupa Samuela, bo on sam skarbów nie miał, nie zbierał ich i nie trwonił, ale komnaty się odznaczały poważną wytwornością wielkiego smaku.

Włoskiego pęzla obrazy, włoskie marmury i bronzy, flamandzkie opony, rzeźby z drzewa ubierały izby, którym prosty

człek nie bardzo się dziwił, bo nie błyszczały nadto, ale znawca miał tu na co patrzeć.

Wieczór nadchodził właśnie i biskup Samuel powróciwszy od króla spoczywał u siebie, domowników przywołując i łagodnie im dając rozmaite rozkazy.

Piękną, jak dusza Samuela, była zewnętrzna postać jego, pańska bez dumy, dostojna bez wyniosłości, szlachetna bez wymuszenia, miła oczom, choć się o to nie starała.

Wiek nie wiele ją potrafił nadwerężyć. Rysy oblicza zachowywały się tym spokojem mężnym duszy, który daje spokój sumienia i wiarę w cel żywota.

Maciejowski widział go przed sobą, w służbie kościołowi i krajowi. Stan kapłański do obojga go namaszczał.

Siedząc przy stole, rozmowę prowadził ze spartym na nim marszałkiem dworu swego, gdy w dalszych pokojach szmer zmusił go przerwać naradę.

Wieczorni przybywali goście, na których tu nigdy nie zbywało. Nie bywało tu tłumów, bo nie było biesiad, zabaw i gwaru, ale też nigdy pustkami komnaty nie stały.

W tej obwili przybywał Tarło biskup przemyski, a tuż za nim szedł żupnik Seweryn Boner, gdy na wschodach świecono Andrzejowi z Górki, kasztelanowi poznańskiemu, wielkorządcy wielkopolskiemu.

Wszyscy oni spodziewani byli, pożądani.

Brakło tylko dnia tego hetmana Tarnowskiego, który doma dla pilnych spraw swych był wstrzymany.

U progu witał Maciejowski przyjaciół swych, do których wkrótce i mniej głośnych, a niemniej mu wiernych garstka się przyłączyła.

Twarze widać było wesołe... lecz po tej wesołości umiarkowanej, cichej, znać było ludzi, którzy ani boleć krzykliwie, ani się wrzaskliwie bawić nie umieli.

Tarło począł Maciejowskiemu wieszować zwycięstwa.

– Przemogliście owe mocy nieczyste – rzekł. – Króla młodego zenicie, a przez to go może z pod władzy matki wydobędziecie, oddzielicie od niej.

Przebóg! – dodał – cóż to za czasy, co za położenie nasze, gdy musimy cieszyć się, żeśmy syna matce wydarli.

– Dałby to Bóg – przerwał pan z Górki, rycerskiego wielce oblicza mąż, który wraz z Tarnowskim laury zdobył pod Obertynem – lecz dzieło niedokonane jeszcze...

– A! i daleko do końca – rzekł Maciejowski siadając sam, gdy drudzy goście zwykle miejsca swoje zajmować zaczęli. – Zdaje się, że w końcu małżeństwo to u kolebki obiecane, ciągle będące na celu, przyjdzie do skutku, mimo oporu Bony... ale co za los czeka tę biedną młodą panią!

Milczenie odpowiedziało na ten smutny wykrzyk, który się wyrwał z piersi biskupa.

– Młodziuchna, nieśmiała, a co gorzej pono wąż i słabowita – rzekł Tarło – jak ona tu sama jedna potrafi temu (tu zniżył głos) potworowi się opierać.

– Przypomnijcie legendy stare – rzekł Maciejowski – Bóg

staje w niewinności obronie, a ma ona siłę, której rozum nie potrafi ocenić. Ileż takich dziewic, potworom na pastwę rzuconych, niewidzialne ręce aniołów osłoniły...

– Co daj Boże! – westchnął Tarło.

– Królam nie widział jeszcze – odezwał się pan Andrzej z Górki, zwracając ku biskupowi – jakże jest?

Maciejowski nie odpowiadał długo, jakby mu ciężko było otworzyć usta – smutkiem się okryło oblicze.

– Nie łudźmy się, kasztelanie – rzekł powolnie. – Wprawdzie ja, obcując z nim oddawna codziennie, nie widzę schyłku jego jako drudzy, a mimo to, król straszliwie osłabiony, znękany, zobojętniały... niepodobna nie dopatrzeć, nie można zaprzeczyć...

– Miał on zawsze chwilki słabości – odezwał się pan Andrzej – gdy go niewieści pisk i krzyki zmogły, ale w nim owa Kaźmirzowa ojcowska stałość myśli mieszkała, że się chwilowem ustępstwem z prawej drogi sprowadzić nie dawał.

– I dziś on widzi jasno – rzekł biskup Samuel – ale spokojny jakiś fatalizm starości go ogarnął. Mówi snadź sobie, iż Opatrzność ludzkie sprawy do pewnego wiedzie końca, i choć ulega, niebezpieczeństwa w tem nie widzi.

Maciejowski wstrzymał się chwilę i dodał z uśmiechem:

– Miłość jego dla przewrotnej tej gadziny włoskiej dawno ostygła, zna ją lepiej od nas wszystkich. Na wskrós przegląda każde jej słowo, zamiar i czynność, niekiedy łaje i w oczy ją głupią zowie albo szaloną... cóż potem? Gdy przywiedziona do

ostateczności stara pocznie krzyczeć, płakać, rzuci się na ziemię, poszarpie suknie na sobie, włosy rozrzuci, bluzgać pocznie i Polskę przeklinać... Zygmunt w końcu woła: Idź, idź, rób co ci się żywnie podoba.

W milczeniu słuchano, aż przerwał biskup Tarło.

– Króla mi i pana mojego żal – rzekł – boć w nim wielki mąż był i monarcha wielki.

– Bez wątpienia – potwierdził Maciejowski. – Nadszedł wiek, sędziwe lata, choroba uczyniły swoje. Nie tym jest, jakim był w początkach. Widzi jasno, poczynać nie ma siły; ratuje się więc w sumieniu swem, tem com wskazał... wiarą w Opatrzność. A jabym ją, taką jaka ona jest, rychlej fatalizmem nazwać mógł. Dobrze jest zdanie się na wolę Bożą, bo bez niej nic się nie dzieje, aliści i człowiekowi dana wola w pewnej mierze, której zażyć ma obowiązek.

– *Quid sine viribus ira!* – szepnął Tarło wzdychając. – Tem też nasza Polska wdzięczniejszą być wam powinna bracie Samuelu, żeście z panem hetmanem przy małżeństwie młodego króla obstali i przyszłość niem ocalili.

– *Utinam!* – westchnął Maciejowski. – Uczyniono co było można, ale nie łudźmy się, powtarzam. Stanęliśmy do walki, jeden Bóg wie przy kim będzie zwycięstwo.

– Przy dobrej sprawie – zawołał p. Andrzej z Górki.

– Tak, ale my, co walczymy za nią, garstką jesteśmy, a złych co przeciw stoją, ćmy i legiony – rzekł gospodarz.

– Jakże Włoszka przyjęła porażkę? – odezwał się p. Seweryn

Boner, żupnik, mężczyzna rozumnej twarzy, choć niepięknego oblicza kwadratowego i rysów dość pospolitych.

– Złość swą musiała wyrzucić za kurtyną na karlicach i sługach, na tych co jej służyli a zawiedli... lecz gdy raz uchwała stanęła – mówił Maciejowski – co począć miała? Uśmiechnęła się ironicznie, wyzywająco, jakby mówiła: nie otrąbiajcie zwycięstwa, pókiście go niepewni.

– A cóż pocznie? – spytał Tarło.

– Mój Boże! – mówił Maciejowski – spytajcie raczej czego nie pocznie? azali włoskich sztuk nie znacie? Pewna rzecz, że tam w tym kraju i wszelkiego dobra i siła złego się nauczyć można. Krew u nich żywiej płynie a ludźmi miota.

Nie wicież co tam może trucizna, sztylet i straszniejsza nad nie przewrotność? Wszystkiego tego zażyć przeciwko nam mogą, przeciw tej niewinnej ofierze.

Zamilkł urywając nagle.

– Grzesznymbym był – dodał – gdybym bez dowodów, iż się to stać może, tak srodze obwiniał... lecz patrzyłem, widziałem i wiem wiele. Dałby Bóg, byśmy pokonali tę potworę, która w herbie Sforziów dziecko pożera! *Omen* to jest!

Wzdrygnął się Tarło i rękę podniósł jedną do góry.

– Młody król przeciw żonę umiłować musi; godzi się na niego rachować, że jej przeciwko matce bronić będzie.

Wstał pan Boner potrząsając głową.

– Przeciwko miłości dla żony, jest tu miłostek bez miary, coraz świeżych, a coraz poważniejszych, są dawne ulubienice...

a ona matka, Boże mi przebaczyć porównanie, jak ona Neronowa Agryppina nad umysłem syna potęgę ma wielką.

– Tak jest – potwierdził biskup Samuel – Patrzaliśmy na wychowanie królewicza, które na to jedynie obrachowaniem było, aby władzę wielką nad umysłem jego osiągnąć.

Domagali się głośno a mocno panowie wszyscy, aby młody pan wychowanie odebrał męskie, rycerskie, bo choć chwilami pokój mamy, nigdy bezpieczni od sąsiadów nazwać się nie możemy. Wojna jest przeznaczeniem naszym, wojna rzemiosłem. Nie dała Bona uczynić syna wojownikiem, odebrała i w fraucymerze zawarła, pieszcząc go aby zmięknął... od ojca go trzyma daleko, od ludzi oddziela, od świata zasłania podwiką... czegoż się po nim spodziewać?

Wtem pan Seweryn Boner przerwał.

– Tak ci ostatecznie źle może nie jest, jakby być mogło – rzekł. – Znam ja młodego króla od dziecinnych lat jego. Pan niepospolitych umysłu przymiotów, a i serca wielkiego, szlachetności wielkiej.

– Co po tem, jeśli zniewieściał? – spytał Tarło. – Słabość w mężczyźnie przywarą wielką... sprężyny nie ma, półzegarze nie idzie... cóż dopiero w panującym, który wolę winien mieć za tysiące?

– No – odezwał się pan Andrzej z Górki – przyszłością się nie trapmy do zbytku, gotówem i ja ze starym królem zostać fatalistą! Bóg się ulituje nad nami. Tymczasem myśleć potrzeba jako tej młodej pani, która tu przybyć ma, zastęp utworzyć,

obrońców zjednać, czuwanie zapewnić.

– Ja – rzekł po małym milczeniu Maciejowski – najwięcej liczę na starego króla. Szczególną bowiem w nim zawsze upatrywałem miłość dla tej narzeczonej syna, a tak bliskiej powinowatej.

Krew ci to nasza, wnuczka Władysława czeskiego, i czy temu, czy jej młodości, czy myśli zawczasie powziętej a długo piastowanej, winna Elżbieta, że ją już dziś Zygmunt jak własne dziecko miłuje.

Żadnej ze swych córek, nawet Izabelli, ulubionej Bony, nie kochał tak, a Dantyszek i Lutalski, co ją widzieli, twierdzą, że miłość ta jest całkiem usprawiedliwioną.

Śliczne ma być dziecię, skromne, miłe, obyczajnie pięknego, wychowane w bojaźni bożej, serca przedziwnego, umysłu rozbudzającego się; a że wcześniej ją naszemu Augustowi przeznaczano, że listy nawet pisywali do siebie, więc w młodem sercu już jest uczucie dla przyszłego męża.

– I ta to gołąbka niewinna – zamruczał głową potrząsając Andrzej z Górki – ma paść ofiarą sępów!

– Znajdzie obrońców! w Bogu nadzieja – dodał Maciejowski.

Czasu tej rozmowy, jak pospolicie u biskupa Samuela wieczorami, gdy widziano światło, ten i ów z przyjaciół jego wchodził. Znaleźli się Bojanowski rozumny, Lupa Podlodowski i kilku innych. Ale na nich nie zważając, bo wszyscy swoi byli, rozprawiano dalej, a nikt się z myślą swą nie ukrywał.

Wtem u drzwi szelest powstał i niektórzy głowy zwrócili

ku nim, bo się ktoś śmiałym, posuwistym krokiem zbliżał ku rozmówcom... a był człowiek, dla nieznanym wielce oczy ściągający i niepospolitej powierzchowności.

Takiego się najmniej na pokojach biskupa Samuela spodziewać było można, bo tu wszyscy pańsko i bardzo ochędoźnie wyglądali, a przybywający, choć mu na fantazyi nie zbywało, bardzo z prosta i zaniedbanie był odziany.

Strojów onego czasu dziwnych nie brakło, a co człek, można było niemal coraz inną modę widzieć na nim, ale po wchodzącym trudno było poznać, do jakiego należał narodu.

Buty miał długie jakie w Polsce pospolicie noszono, spodem suknię jak sajanik skrojoną, ale wytartą i wyblakłą, choć materya na niej była niegdyś kosztowna i piękna. Wierzchem zaś na niej, wyszarzanym aksamitem okryte miał futerko z popielicznych wiewiórek, jakieby ledwie staremu słudze na powszedni dzień przystało. W rękę zaś trzymał kołpaczek futrzany, tak dobrze stary jak odzież cała. Za paskiem na sajaniku zatknięta była para rękawic wyszywanych, zużyta – u boku ani miecza ani szabli, tylko pod pachą laskę kutą niósł.

Niepozorny ten człek, średnich lat, przed czasem postarzały, głowę miał ogromną, nad którą czoło wypełzło jak bania sterczało; twarz chuda, długa kończyła się spiczasto. Brzydki był, ale w oczach tyle rozumu miał, a w tej twarzy życia tyle, iż poszanowanie jakieś wzbudzał. A musiał się mieć za niepośledniego sam on, gdyż owi dostojni mężowie, owe bławaty, szaty i łańcuchy, między które poufale tak wchodził, bynajmniej

go nie onieśmiały.

Ci co na drodze mu stali, ustępowali z ukłonem, zdala będący witali go z uprzejmością wielką, a ks. Samuel ręką wcześniej go pozdrawiając, życzliwie się uśmiechał.

Zbliżywszy się do stołu nowy gość, z tą śmiałością z jaką wszedł, dokoła się pokłonił i stanął.

– Gościem wy u mnie rzadkim a wielce pożądanym, Strusiu miły – odezwał się biskup – bądźcież pozdrowieni!

Struś głowę skłonił nieco.

– Dzięki Bogu, mnie tu nie było potrzeba – rzekł – a gdzieindziej mus iść i konieczność. Doktorowi wszyscy radzi, a no bodaj go nie wołać.

Struś ten był naówczas najzawołanym z lekarzy w Krakowie; choć tu na nich nie zbywało, bo i Polaków co się we Włoszech uczyli, i Włochów i różnych cudzoziemców siła było można naliczyć.

Struś bodaj innych nauką i bystrem okiem w rozpoznawaniu chorób ludzkich i temperamentów przechodził. Szanowano go powszechnie z nauki wielkiej, ale i z charakteru niemniej pięknego. Jako to lekarzom wielu się trafia, codziennie z widokiem śmierci oswojonym i sprawy ludzkie nawykłym widzieć jak marnemi są, Struś swobodę umysłu i mowy w pośród najdostojniejszych osób zachowywał, a nie korzył się przed nikim. Tak mu było prawdę łatwo powiedzieć królowi, jako parobkowi, a zawsze była zdrowa i jędrna. Nie lękał się też nikogo, gdy jego wszyscy pożąдали.

Ostatnie wyrazy rozmowy toczącej się o królowie Elżbiecie, wchodząc Struś pochwycić musiał, bo gdy się uciszono, rzekł.

– Nie radbym przerwał *Encomium* przyszłej pani naszej, a dowiedziećby mi się było miłym, że też dosyć siły a zdrowia mieć będzie, aby tu i miłości jednych i nienawiści drugich podołać mogła biedaczka.

– Co do zdrowia jej – zniżając głos rzekł biskup z powściągliwością pewną – różne wieści krążą, daj Boże, nieprawdziwe a złośliwe... Słabowitą być ma a wątłą.

Strusiowi się słuchając rozrosłe brwi pod wysokim czołem ogromnie marszczyły.

– Jam coś też zasłyszał – rzekł – i dlatego pytam. Powiadają, że matka jejmości niedobrego jest zdrowia, a i w ojcu pewne przypadłości mogły z niego przejść na dzieci... chociaż to koniecznym prawem nie jest, aby one dziedziczyły je. Trafia się ten spadek często, lecz niewszędzie, jedno dzieci mija, drugie obarcza.

Maciejowski milczał zamyślony.

– Zkąd ja to wiem – rzekł – nie raczycie mnie badać; słyszałem wszakże od tych, co często ostatnimi dniami królową starą widywali, że ma pociechę z tego wielką, acz może przedwczesną, iż u przyszłej królowej o chorobie jakiejś skrytej wie, która jej życia długiego nie obiecuje...

Wszyscy chwilę milczeli, a pan Seweryn Boner po cichu szepnął biskupowi Tarle, obok którego siedział:

– Może zawczasu choroby przepowiadają, aby się jej nie

dziwowano, gdy potem włoskim kunsztem ją w kubku lub woni zadadzą!

Struś dosłyszawszy smutnie się uśmiechnął.

– Zowiecie to włoskim kunsztem – odezwał się – chociaż on i we Francyi i po równi w innych krajach, pod ten czas zły do wielkiej doskonałości doprowadzony został.

Zaprawdę ohyda to i smutek, gdy człowiek rozumu swego i nauki na to zażywa, aby potajemnie i bezkarnie broił.

Doszliśmy do tego, że i Lokusta lepiej smażyć nie umiała nad nasze trucicielki.

Srom wyznać, że i pomiędzy doktory są tacy, którzy nad tem pracują, aby jak najsubtelniejsze trucizny urządzać umieli, które potem nie na wagę złota, ale za ogromne sumy sprzedają...

– Ale sąc antidota – odparł po chwili biskup – i mówią o kamieniach takich, które nosząc nigdy otrutym być nie można.

Struś się uśmiechnął.

– Przeszła do nas ta wiara od starożytnych, tak jako o ametyście głoszą, iż upić się nie daje, ale cudny to by kamień być musiał, żeby samo nań wejrzenie i noszenie go, połknięty jad niszczyło... Baśnie to są.

– A toż prawda? – zapytał Boner – że i zapachem zabić można?

– Prędzej niż wejrzeniem na kamień uleczyć – rzekł Struś – lecz smutna to treść rozmowy... rzućmy ją lepiej.

– O wesołą bo trudno – przerwał biskup Samuel.

Po tych słowach rozdzielili się mówiący i każdy z nich

pojedynczo z kimś cichą zawiązał gawędę. Wszystkie zaś one mniej więcej jednego się tyczyły przedmiotu – młodego króla i królowej przyszłej, na których wielkie pokładano nadzieje... tak jak Bony i królowania jej coraz się rozwielniającego lękali wszyscy, tem pocieszając tylko, iż ono z żywotem starego pana ustać miało.

Słowo to było w ustach wszystkich, i dosłyszawszy je biskup Samuel, rzekł: że i to niepewna, ażali Bona, która na pozyskanie serca syna pracowała od dzieciństwa jego, nie potrafi go zatrzymać, tysięcy na to mając sposoby.

– Jakie one są – mówił znowu podniósłszy głos Maciejowski – wszyscy wiemy, bośmy na nie patrzyli. Młody pan wiele potrzebuje, bo do wykwintnego i zbytkowego życia jest nawykły, kocha się we wszystkim co piękne, a co piękne jest, szacowne być musi.

Stary król nie rad na fraszki mu dostarcza i ostrzejby go chciał wziąć, czemu Bona nie przeszkadza, zarazem okazywując mając tajemnie ze skarbcza go swego zasilać, co miłość jedna i utrzymuje. Jest w Chęcinach na zamku z czego wszelki zbytek żywić.

Gorsze drugie – kończył biskup oczy spuściwszy – boć na krewkość wielką młodego króla obrachowane. Ma Bona zawsze przy sobie podostatkiem pięknych dziewcząt, Włoszek i Polek, a przez szpary patrzy na miłostki syna.

– Cośbym i ja o tem powiedzieć umiał – szepnął Struś – wczoraj bowiem młody król przez dworzanina mnie swego

prosić kazał, abym nie wyjawiając, że to z jego naprawy poszło, Włoszce Dzemmie coś radził, gdyż chorą być ma.

– To wiadomo – wtrącił Boner – iż piękna bardzo Włoszka, bo to perła na dworze królowej, oddawna młodemu panu w oko wpadła... a źli ludzie mówią, iż Bona sama tego życzyła i ułatwiała.

– Byliście na zamku u niej? – zapytał ciekawie Andrzej z Górki.

Struś głową potrząsnął.

– A jakżebym chorej i królowi odmówić miał? – rzekł. – Dworzanin Merło, co mnie prowadzić miał, tak się starał czas i drogę wybrać, aby nas nie baczono.

Nie wiem czy kto dojrzał mnie po pustych łądzącego kurytarzach, zanim Merło przodem pobiegłszy dał mi znak, iż wniknąć mogę.

Gdym na próg wstąpił – mówił dalej Struś – w tejże chwili u drugich drzwi opadała kurtyna, i nie mylę się, bom młodego pana uchodzącego poznał. W komnatce tak ochędóżnej a przybranej, jakiej nigdy królowny nasze nie miały, bo około tych skromnie jest i ubogo, zastałem ową piękność, u której nóg jeszcze świeżo porzucona lutnia leżała i struny jej niedograną pieśnią cicho dźwięczały. Ujrzawszy mnie zapłoniła się wielce i stała nieruchoma jak posąg, tak żem czas miał się dobrze przypatrzeć zbliżając powoli.

Oczów na mnie długo podnieść nie śmiała.

– Na prawdę bardzo piękna! – odezwał się Boner.

– Ani we Włoszech nawet takich wiele – potwierdził Struś – choć tam niewiasty za młodu słyną pięknnością, tylko że ona nietrwałą jest, gdy naszych jejmości, jak się trafi hoża, to i w pięćdziesięciu leciech między dziewczkami stanąć może... gdy Włoszka do trzydziestu ledwie doszedłszy, już stara.

Ozwałem się do wylekłej, pytając czy chorą była.

Podniosła dopiero oczy śliczne na mnie i cicho rzekła: – Nic mi nie jest.

Ująłem za rękę i puls badałem, który bardzo pospieszny był i nieregularny. Niepokój duszy we krwi się czuć dawał.

Na pytania moje ledwie mi odpowiadać chciała, wciąż na drzwi spoglądając, których zasłona drgała, jakby za nią kto stał ukryty.

Chorą ją nie znalazłem, ale zdrową się nazwać nie godziło, bo z takiego niepokoju w całym ciele ludzkim srogie nieporządki powstać mogą i śmierć nawet sprowadzić.

Ani tu moje leki aptekarskie mogły być skuteczne. Rzekłem więc aby w sobie spokój starała się utrzymać i dobrą myśl, rozrywki szukała, muzyki zaniechała.

Ziółko też usypiające i uspokajające przysłać obiecałem.

– Łacno odkryć tej choroby przyczynę – przerwał pan Boner. – We dworze już wiedzą wszyscy, bo i stara królowa języka utrzymać nie umie nigdy, że król młody się żeni. Ztąd kochanicy troska sroga, bo że była i jest Augustową miłośnicą, o tem na dworze nie wątpi nikt. Królowa stara obsypuje ją łaskami, a przez nią syna przy sobie trzyma i zachować go się spodziewa.

– Niewątpliwa, iż plan taki jest osnuty – przerwał Maciejowski – łacno go i podpatrzyć odgadnąć, aliści nie wiem czy równie będzie lekko przywieść do skutku.

Zamilkli wszyscy.

– Na to królowa stara wcześniej obmyśla sposoby – odezwał się Górka – czasu ma dosyć.

Rozsiewają już wieści, że przyszła żona chorobę jakąś wiezie z sobą, nie dla czego innego, tylko aby do niej zrazili. Będzie to dobry powód aby oddalić Augusta, którego Dżemma pocieszać nie zaniedba...

Westchnął biskup Samuel, ale wtem marszałek dworu otworzył drzwi jadalni i oznajmił, że wieczerza podana była, i jakby dla niej wszedł też śmiejąc się brat biskupa – a wszyscy razem, oprócz Strusia, który za chleb wieczorny podziękował, ruszyli do sąsiedniej sali.

Zdawna dwór biskupi krakowski, choć na nim siedział Oleśnicki i kardynał Jagiellończyk, takiego przepychu i świetności nie zaznał, jak pod ten czas za Gamrata.

Stara to i udowodniona prawda jest, iż ten co od kolebki nawykł do dobrego bytu, do dostatków, mniej do chlubienia się nim jest pochopnym.

O Gamracie mówiono, że w łapciach przyszedł z Podgórze, tak jak o Ciołku, że karczmarza czy szewca synem był, a oba oni bez wielkich zbytków się obejść nie mogli.

Nadworne straże, liczni komornicy, służba, aż do

najmniejszego pachotka, jeżeli nie na codzień, to na uroczystości Gamratowi w takich strojach, zbrojach i przyborach towarzyszyli, iż gasili barwą swą i rynsztunkiem najmożniejszych domów poczty.

Prawda iż arcybiskupstwo razem gnieźnieńskie i biskupstwo krakowskie dzierżąc, dwa książęce beneficja, mógł Gamrat starczyć na przepych książęcy i sprostać choćby Tarnowskiemu, Górkom, Zebrzydowski i najmajątniejszym magnatom.

Gdy u innych wspaniałość z wytwornym smakiem połączoną była, Gamrat się szczególnie w tem kochał, co oczy pospółstwa zachwycało i połyskiem je pociągało.

Więc od złotych bramowań były barwy, kapy na konie, złotem świeciły i szkarłatem kolebki, a i liczba pocztów dostojności odpowiadała. Dwór jego więcej na świeckiego pana orszak, niż na duchownego drużynę wyglądał – ale i on sam też, mimo najwyższego dostojęństwa w hierarchii kościelnej, o kapłańską mniej stał powagę.

Panem przedewszystkiem chciał być, przeto i dobroczynnym bywał po pańsku, bo gdy w podróż się puszczał po dobrach swych, szły za nim wozy odzieżą i chlebem dla ubogich naładowane. Sypał tak hojnie, jak mu zbierać łatwo było.

Nie poskąpiła natura szczęśliwemu dziecku wyposażenia, dając mu oblicze piękne, choć się ono już w tych lecjach jego znacznie było rozlało i zgrubiały rysy – postawę przytem miał wspaniałą, wzrost i tuszę pańską. Z oczów tryskał rozum i przebiegłość, jako też umysłu był prędkiego i odgadywał łatwo

to nawet, czego się nigdy nie uczył.

Głębokiej nauki Maciejowskich i Tomickich nie miał nigdy, ale dowcip żywy i giętki, słowo łatwe i rodzaj wymowy bujny i kwiecisty, który stał za mądrość.

Z ludźmi, których sobie pozyskać chciał, był tak miłym a tak się szczerym zdawał, choć nim nie był, że za serce łatwo chwycił.

W środkach wcale nie przebierał, i życiu jego jawnie wiele zarzucić było można, lecz o to nie dbał. Namiętności swych poskromić nie umiając, gdyby nawet cnotliwego udawał, nikogoby nie oszukał.

Gdy z jednej strony obyczajów jego uniewinnić niepodobna było, miał jednak ten srom jakiś w sobie, że za nie płacił usiłował głośniami czyny.

Sypał pełną garścią na ubogich, szczególnie tam gdzie nietylko lewica, ale tysiące oczów z prawej i lewej strony widzieć to mogło. Młodzieży do nauki pomagał chętnie, grosza na to nie żałując, dla przyjaciół hojnym był, a im głośniej mógł co sprawić, tem ohotniej robił.

Ale tak samo jak się z dobrem chwalił, tak złego nie ukrywał, i miłośnica jego z Sobockich Dzierzowska, a jej rodzina, niemal na dworcu arcybiskupim zamieszkiwała. Wizerunek pięknej pani wisiał w pokoju na ścianie, a gdy się arcybiskup w podróż puszczał, szła za nim kolebka tej, którą żoną arcybiskupią publicznie zwano.

Ona się też nie sromała być ulubienicą Gamratową, a ośmielać ją musiało to, że u królowej Bony na pokojach także włoskiego

pęzła wizerunek jej widzieli wszyscy i stara pani mówiła o miłości arcybiskupa dla niej, jako o rzeczy godziwej i uprawnionej.

Zżymało się na to duchowieństwo, bo od Pawła z Przemankowa zgorszenia podobnego na stolicy krakowskiej nie widziano. Rozwiązłe życie wiódł kardynał Jagiellończyk, ale osłaniano je przecie, aby w oczy nie biło.

Gamrat się z niego prawie chlubił, a zwano to z przekąsem „włoskim obyczajem”.

Pospolicie, gdy królowa stara na zamku krakowskim mieszkała, Gamrat jej nieustannie bywał potrzebnym. Obejść się bez niego nie umiała, i do rady i do wykonania służyć musiał, więc znacznieszą część dnia spędzał na Wawelu i późno powracał.

Ale rzadki dzień się obszedł potem bez nocnej biesiady, bo biskup i jeść dobrze i pić lepiej jeszcze lubił, a gdy jadł lub pił nigdy sam nie siadł do stołu, towarzystwem się otaczając wesołem, ludzi coby go zabawić mogli i dobrej myśli przyczynić.

Przy owych tedy sławnych Gamratowych wieczerzach, które letnich dni nieraz trwały do poranku, brano na zęby wszystkich co do obozu królowej nie należeli, a słowo grube i żart plugawy nie były nowiną.

Na niczem tym biesiadom nie zbywało, cokolwiek rozbudzić i rozochocić mogło, ani na trefnisiach, ani na muzykantach, ani na pochlebcach dworujących faworytowi, tylko na pomiarkowaniu i skromności.

Niewiastom też z panią Dzierzgowską wstęp nie był wzbronionym, choć duchowni u stołu przeważali liczbą.

Lecz kto z nich u Maciejowskiego bywał, ten u Gamrata nie postał, i nawzajem. Gdy zmuszony czasem profesor akademii, prałat jaki u stołu zajął miejsce, przed końcem uczyty się wynosił, bo im ona dłużej się ciągnęła, tem swawola była większa.

A taka jest moc nieszczęsna władzy, znaczenia i wszelkiej siły, że choć sam Gamrat w prawie powszechnej był ohydzie, kłaniało mu się możnych ludzi coraz więcej, gościło dostojnych coraz mniej tu spodziewanych.

I najgłośniejszych imion ludzie, jak Opalińscy, jak Kmita, nie uchylali się od arcybiskupa, bo co stało przy królowej, z Gamratem trzymać musiało. Szczególniej w ostatnich latach, gdy król coraz widoczniej starzeć począł, a żona nad nim przewagę coraz większą brała, Gamrat też rosł i potężniał. Ani do urzędu, ani do ucha króla dobić się nie było można bez niego. Nie starczył datek, choć królowa sobie za wszystko płacić kazała – pokłon był niezbędnym.

A im kto dłużej kłaniać się nie chciał, tem potem niżej musiał. Wieczoru tego na dworcu się też gotowano z wieczerzą, gdy biskup powróci, i z otwartych okien kuchni aż na podwórze dolatywała woń zamorskich korzennych przypraw, bez których żadna się pańska kuchnia nie obchodziła. Smakowały one komu czy nie, dla samej swej ceny używać się kazały, aby okazano, że stać na to było, by imbirerem, szafranem, muszkatełą, cynamonem półmiski zaprawne były.

Liczny dwór dosyć nieswornie kręcił się w podwórku ze śpiewkami na ustach, pobrzękując na cytrach, odprawując gonitwy takie, jakby to nie był księży dwór i duchownego mieszkanie. Zbrojnej też gawiedzi więcej oko spotykało niż sukni kapłańskich, które wielu zrzucało lub tak przykrawywało, że się świeckim nadać mogły.

Synody wprawdzie ostro nakazywały i tonsurę i sutanny, i bezbronność i wyrzeczenie się świecideł, lecz sam pasterz stroił się i nikomu nie ganił tego, kto mu przyjaznym był.

Kolebka Gamratowa jeszcze nie nadażyła z zamku, gdy Sobocki, którego naonczas na województwo gwałtem siostra forytowała, wraz z nią zajechał kolebką szkarłatną ze świecidłami mosiężnymi przede drzwi główne.

Z jejmością razem (Dzierzgowską) przybywała druga jej towarzyszka i pokrewna, Sobocka także. Stryjeczny brat jej, który je przeprowadzał, stał na stopniu kolebki, trzymając się balasów, na których pokrycie spoczywało... Mężczyzna był tak urodziwy jak siostra, z której łaski u Gamrata był w zachowaniu, ale już wiekiem i życiem roztyły, ocieżały i na twarzy zbyt rumianej, napiętnowany od napojów gorących... Stroił się jednak młodo, dbał o swą piękność i chciał się nią jeszcze chlubić.

Wysiadająca z kolebki Dzierzgowska, ulubienica Gamrata, cała w jedwabiach, łańcuchach, klejnotach, forbotach i plecionkach złotych, niewiastą była już przeszło trzydziestoletnią, pięknej kibici, kształtna, silna, rumiana i biała.

Twarz zalotnie uśmiechnięta, z wielkimi oczyma szafirowymi, mówiła równie jak malinowe usta, że jejmość wesole życie lubiła. Śmiała się wysiadając, gdy ją Sobocki wraz z nadbiegającym marszałkiem dworu na rękę niemal wynieśli z powozu. Tuż za nią szła druga Sobocka, piękna też, ale niemogąca z siostrą się równać. Mniejsza od niej, pulchna, pełna, tylko białem licem i zbyt nastrzępionym odznaczała się strojem. Marszałek arcybiskupi w progu oznajmił, że arcybiskup dotąd z zamku nie powrócił.

– A! – zawołała śmiejąc się Dzierzgowska – gdyby Bona nie była starą i królową, byłabym zazdrośną. Godzina dobrze druga lub trzecia na całym zegarze... jużby doma dawno spocząć powinien.

Marszałek poruszył ramionami.

– Opóźnienie – rzekł cicho i poufnie – toby jeszcze nie było nic. Wiadomo, że nasz arcypasterz na swej głowie i ramionach tyle dźwiga, iż mu podołać trudno. Nic się nie dzieje bez niego. Gorsza to, że od dwóch dni już chodzi ks. arcybiskup jak struty, z troską jakąś, której nic rozproszyć nie może. Jeszczem go takim nie widział nigdy.

Zmarszczyła się pani Dzierzgowska.

– Ale cóż mu się stało? – zawołała nasepiona – mielibyście nie wiedzieć nic?

Rozmawiając tak, weszli do wielkiej sali rzeźbiarskiej oświeconej, w której stół wspaniale był nakryty. Na drugim obok stały wyłacane nalewki i także misy, z ręcznikami szytymi bogato,

przygotowane dla gości do umywania rąk przed wieczerzą. Służba w kącie gotowa była na skinienie.

– Nie wiecie nic? – zapytała Dzierzgowska.

Marszałek pokręcił węża i usta wydał.

– Nie tai nic przedemną – rzekł – ale tym razem nie mogłem się dowiedzieć co mu jest. Rzecz tem osobliwsza, że wczoraj kładąc się spać był najlepszej myśli, śmiał się, żartował... Położył się potem, a rano wstał blady, spotniały, zmęczony, do siebie niepodobny, tak żem po pana Strusia lub innego lekarza chciał słać, ale ofuknął że go nie potrzebuje. Przez cały czas gdy się odziewał, wdychał zadumany, co nie jest jego obyczajem. Dziś we dnie jeszcze się te chmury nie rozproszyły...

Dzierzgowska i Sobocki spoglądali na siebie, badając się wzajem. Marszałek stał nasłuchując czy kolebki arcybiskupiej, której oczekiwał, turkotu nie posłyszcy. Ale cicho było dokoła, tylko z podwórca dolatywały śmiechy, śpiewki i gwary.

Upłynęło tak ze ćwierć godziny w oczekiwaniu, gdy w ostatku zatętniało w dali i marszałek naprzeciw pana swojego pospieszył razem z Sobockim, a dwie kobiety same w sali pozostały, zbliżając się tylko nieco ku progowi. Pochodnie mignęły u okien, arcybiskup przybywał.

Po chwili zjawiła się piękna jego postać we drzwiach, ale tak zasepiona, z wyrazem takiej trwogi jakiejś i srogiego niepokoju na twarzy, iż pani Dzierzgowska się przelekkła.

– Co wam jest? – zapytała żywo.

– Co mi jest? – butnie odparł arcybiskup, zmuszając się do

uśmiechu – a któż wam mówił, że mi się co stało?

– Z twarzy to widać!

– Lica kłamią pod czas jak i usta – zawołał Gamrat. – Zmęczony człek wydaje się zatroskanym, znużony smutnym...

W chwili, gdy arcybiskup do sali jadalnej wchodził jednymi drzwiami, drugimi z bocznych komnat już na niego oczekujące zwykle codzienne towarzystwo cisnęło się tu także. Duchowni strojni jakby niemi nie byli, świeccy po włosku, po usarsku, po węgiersku, po niemiecku poubierani, dwa karły, trefniś, wszystko się to razem wtoczyło.

Marszałek, który rozkaz już odebrać musiał, natychmiast misy na stół przynosić kazał, a Gamrat już szedł do nalewek, któremu wodę chłopięta na ręce zlewać poczęły... Zatem i paniom i innym gościom podstawiano misy i podawano tuwalnie.

Gwar wesoły rozszedł się po sali oświetlonej i błyszczącej od sreber i szkła weneckiego. Wszyscy jednak ku arcybiskupowi spoglądając widzieli zarówno, że nie takim przybywał jak zwykle... Zły ten humor powszechnie przypisywano temu, że i królowa stara i Gamrat, pobici zostali w sprawie małżeństwa młodego króla.

Żeniono go pomimo nich – zapowiadały się burze i ciężkie walki.

Gdy Gamrat zajął swe siedzenie, obok którego po obu stronach Dzierzgowska i Sobocka się umieściły, a inni też wedle dostojęństwa krzesła zasiedli, zapach polewki rozszedł się po

izbie i słycać było przez czas jakiś tylko brzękanie łyżek i dźwięczenie mis potrącanych niemi.

Arcybiskup ledwie tknąwszy jedzenia, porzucił je, nalać sobie kazał wina, wypił nie mieszkając i siadł oparłszy się na rękę.

Nawykli przy biesiadach widywać go zawsze rozbudzonym, do wesela powołującym, ochoczym, zdumieni potrącali się łokciami.

– Co mu to jest?

Na to pytanie nikt nie umiał odpowiedzieć, bo takim go nigdy nie widziano, takim on nigdy nie był.

Dzierzgowska cicho badać go zaczęła. Spojrzał z góry na nią, chciał się łagodnie uśmiechnąć, lecz skrzywił tylko i rzekł:

– Źle się czuję na zdrowiu. Sam nie wiem, co mi jest. Do melancholii nie miałem nigdy skłonności, ani mnie hipochondrykiem kto widział, raczej cholerykiem niekiedy. Przejdzie to wszakże i zwolna się zatrze... Bądźcie wy dobrej myśli, abym ja z niej się cieszył, gdy własnej nie mam.

– Mówicie tak – odparła Dzierzgowska czule – dobre to dla drugich nie dla mnie, która mam to szczęście dobrze was znać. Strapienie jakieś wam dolega, a ciężkie nad miarę być musi, gdy tak widocznem się stało.

Westchnął Gamrat nic nie odpowiadając.

Więc i Dzierzgowska, Sobocki i marszałek i wszyscy ci, którym szło o to wielce, aby wesołym pana widzieli, poczęli szeptać, krzątać się, różne wymyślając sposoby.

Wystąpił tedy włoski lutnista i pobrząknąwszy o struny, na

ławie pod oknem zajął miejsce, śpiewać poczynając pieśń starą, którą arcybiskup lubił, bo mu młode lata w Rzymie przy Ciołku spędzone przypominała. Spojrzał Gamrat ku lutniście, czoło mu tęsknota jakaś oblała... i zasłuchał się w pieśni.

Nie rozjaśniło mu się oblicze.

Skończył śpiewać lutnista, któremu kubek podał sam Gamrat dziękując, a przy stole cisza panowała. Ci co zwykle tu rej wodzili, dziś się czuli bezsilni...

Wystąpił z kąta trefniś, którego Pokrzykiem zwano, co znaczy też jak włoska: Mandragora, upatrywano bowiem w niezgrabnej jego postaci jakieś z dziwaczną tą rośliną podobieństwo.

Krzywy, na obłączystych nogach, garbaty szpetnie, z głową jak garnek ogromną i niekształtną – Pokrzyk sływał jeśli nie z dowcipu trefnego, to z cynizmu wielkiego, który też nazwisko mu nadane usprawiedliwiało.

Zbliżywszy się do stołu, Pokrzyk rozpoczął błaznowanie... śmiech obudził w kilku, ale Gamrat nie zdawał się go ani słyszeć ni rozumieć. Napróżno się wysilał na coraz śmielsze wybryki, wszystkie pozostały bez skutku.

– Co to ci ojcie nasz dobry? – spytał niemal pod łokieć mu się wciskając.

– Chciałżeś abym jak ty szalonym był? – zapytał Gamrat.

– Krzta szaleństwa i rozumnym mężom nie szkodzi – odparł Pokrzyk – zwłaszcza przy biesiedzie.

Ano, patrzcie, nietylkoście wy smutni, ale wszyscy pociemnieli... tak jak gdy słońce zajdzie, a mrok padnie na

ziemię.

Arcybiskup ręką rzucił, a potem nią czoło znużone potarł i od trefniasia się odwrócił.

– Hm! – rzekł Pokrzyk na ucho Dzierzgowskiej – rychlej wy niż ja poradzicie na melancholię, ja ręce umyвам...

I od stołu odstąpił.

Ten i ów z gości, zwłaszcza ci co więcej w dowcip swój ufali, poczęli się z tem i owem wyrywać głośno, sądząc że chmurnego i zadumanego rozruszają. Nie pomogło nic.

Wieczera owa, co miała podochocić wszystkich, zesłała posepnie, a pod koniec jej, czoła się wszystkim pofałdowały i gdy znowu do mycia rąk przyszło, milczenie panowało trwożliwe.

Nawet dla Dzierzgowskiej Gamrat nie miał słówek tych słodkich, któremi ją był zwykł karmić...

Zaraz więc po krótszej niż zwykle biesiedzie, poczęli się goście mieć ku wyjściu. Ten i ów żegnał się i znikał, rada nie rada Dzierzgowska z siostrą pożegnały Gamrata, który ich nie wstrzymywał, i do kolebki siadły.

Sobocki tylko pozostał, odprawując je, z mocnem postanowieniem wybadania arcybiskupa i wyjścia z tej trwożliwej niepewności, w jaką go niezwyčajne zasepienie jego wprawiało.

Gdy kobiety odjechały, goście się rozeszli, a Gamrat sam został z domownikami i Sobockim, skinął na niego i z komnat pustych przeprowadził za sobą do komorki zacisznej, małej, która do sypialni przytykała.

Ulubione to było jego gniazdo, do którego tylko najpoufalsi przystęp mieli; całe kobiercami wysłane, dokoła miękką szeroką obwiedziona ławą, zaciszne, wygodne i obcym nieprzystępne.

Arcybiskup zajął tu miejsce na rozłożystym siedzeniu, które tak urządzone było, że na niem położyć się mógł, zeprzeć i jak chciał umieścić. Sybaryta tylko mógł podobne wymyśleć.

Obok pod ręką stało zawsze na niskim stoliczku wszystko, czego tylko przy spoczynku pożądać było można... Dzban z wodą zimną, nalewki z winem gotowanem i surowem, łakocie różne i owoce w cukrze kandyzowane.

Sobocki zajął miejsce nieopodal od niego.

– Pietrze – rzekł do niego poufale, gdyż byli z sobą jak bracia i wzajem tajemnic nie mieli – drugim sobie mów co wola twa, a no mnie tem się nie zbędziesz. Coś cię dotknęło okrutnie, nigdym cię takim nie widział.

– Zaprawdę – westchnął Gamrat – bom nigdy nie był takim! Zamilkł krzywą i mówił dalej.

– Niemałom żył, a tego co mi się przygodziło dziś nocą, nie doświadczyłem nigdy. Dlatego zbliżanie się godziny nocnej tak mnie trapi i przeraża.

– Nocą? – podchwycił niespokojny Sobocki.

Gamrat skinieniem głowy to potwierdził.

– Idź – rzekł – opatrz drzwi, aby nawet z domowników moich nikt nas nie podsłuchał. Przed tobą mogę, przed nikim innym z tegobym się nie potrafił spowiadać dla sromu.

Znasz mnie, że ducha męznego mam, a zmogło go.

Poszedł natychmiast Sobocki za drzwi na oględziny, i prędko, niespokojny powrócił.

Siadł naprzeciw Gamrata, w twarz jego wpatrując się z trwogą.

Arcybiskup milczał czas jakiś, odetchnął po tem ciężko i cichym głosem tak opowiadać zaczął:

– Znałeś Kurosza? Wiesz jak blizki był sercu mojemu. Pierwszy to człowiek, który do mnie przystał gdym maluczkiem był, i został mi wiernym do zgonu.

Płakałem po nim, jak nigdy po nikim jeszcze.

Pomnisz co to on za życie prowadził i czasu peregrynacji swych za granicą i powróciwszy do kraju. Tak zuchwałego hulaki a zawadyaki nie wskaże mi nikt drugiego. A życia zażywał pełną... Gdy zmarł, już pewnie nie zostało nic na tej ziemi czegoby nie spróbował, z czemby się nie zmierzył, czegoby nie zakosztował choć zakazanego... A co zakazane owszem najlepiej mu smakowało...

Dość powiedzieć: Kuroszem był... bo drugiego takiego, sądzę, nie znajdzie ani u nas ni w żadnym kraju.

Do dziś dnia go opłakać nie mogę... Ten mi jeden przyjacielem był, choćbym krwi od niego zażądał.

Westchnął Gamrat.

Sobocki słuchał, nie pojmując jeszcze jaki zmarły Kurosz ze smutkiem Gamrata mógł mieć związek, gdy ten dalej ciągnąć począł.

– Wczoraj do łoża szedłem jako zwykle wesolej będąc

myśli, nie mając powodu do żadnej trwogi, ani troski. Z zamku wyjechawszy, przetrząsałem w głowie wszystkie środki, jakie stara królowa zwierzyła mi, że ich przeciw młodej pani zażyć zamierza.

Położyłem się rozmyślając o nich, a nie wątpiąc, że wszystko się uszykuje gwoli naszej.

Zasnąłem twardo.

Nagle zdało mi się jakbym oczy otwierał, choć powieki miałem zawarte... W sypialni światło jakieś, jakby od ognia dalekiego łuna odbita, się zjawilo.

Na tle jego stał ktoś naprzeciwko mnie, którego mi rozpoznać było trudno.

Tymczasem światło rosło i wkrótce rozjaśniło tak całą komnatę, że wszystko w niej mógł rozeznaczyć, i tego który naprzeciwko mnie stał, wpatrując się we mnie, poznałem też... Kurosz był.

Osobliwa rzecz. Pamiętałem we śnie, iż go między żywymi nie ma, a zjawienie się jego wcale mi się nie wydawało dziwnym.

– Miły mój Kurosz – odezwałem się – pozdrawiam cię. Jako tam dzieje się z tobą?

Patrzył na mnie długo z politowaniem jakimś, nim mówić począł.

– Bogu miłosiernemu i przenajświętszej Matce jego niech będą dzięki – rzekł. – Tam jestem, gdzie się dostać nie spodziewałem.

A gdym milczał zdumiony bardzo, ciągnął dalej.

– Życie moje pomnisz, boś jego świadkiem był. Zbluzgany i obłocony niem zszedłem z tego świata, a jeśli mnie ciężar grzechów nie miał na dno pchnąć piekielne, długa i sroga czekała pokuta.

Tego słowo ludzkie nie wyrazi jako burzliwym wirem porwana dusza moja z ciała wyszła, przez ciemności straszne lecąc ku pożarnemu morzu płomieni.

Wtem zaszeleściły skrzydła aniołów, pęd się ten powściągnął, i jasna biała światłość oblała mnie. Po nad sobą ujrzałem gwiazdami siany płaszcz, który spadał z ramion białej, w jasności wielkiej stojącej dziewicy... Maryi. Chwyciłem rąbek jego i natychmiast pierzchnęło co mną rzucało. Lekki stałem w powietrzu, a głos z góry dał się słyszeć:

– Ten czci mojej był obrońcą.

Naówczas przyszła mi na myśl przygoda owa w hiszpańskiej ziemi, gdym pijanego a zuchwałego heretyka, który przeciw Matce Bożej bluzgał słowa wszetecznemi, na rękę wyzwiał za to i ubiłem go.

Skrucha za grzechy wstąpiła we mnie tak potężna, iż naraz całego przeistoczyła. Czułem jako opadały grzechów mych sprośne łupieżę i trądy, jakom znowu do dziecinnej powracał niewinności.

Tak mówił Kurosz, a słowa jego przejmowały mnie grozą wielką, trwogą i bolem.

– Słuchaj Gamracie – dodał – żywota masz jeszcze dwie lecie i kilka miesięcy. Pójdiesz potem rachunek zdać z niego.

Jakom cię niegdy miłował, tak cię dziś żałuję. Czas jest kajać się, czas upamiętać, pora pokutować... Pomnij na to, a nie wątp o miłosierdziu Bożem.

To gdy rzekł Kurosz, jakby we mgle się rozpląnął i z oczów mi zniknął. Światło w izbie zagasło, a ja dopiero teraz rzeczywiście powieki podniósłszy, przebudziłem się.

Cóż chcesz, Sobocki, ze snem tym chodzę dzień cały, pozbyć się go nie mogąc. Widzę ciągle przed oczyma, słyszę głos jego.

Sobocki, który z natężoną słuchał uwagą, nie rzekł nic zrazu.

– Cóż o tem sądzić – odezwał się pomyśliwszy trochę. – Sen to jest jako drugi: sen mara, Pan Bóg wiara, o czym za dnia człowiek myśli, to mu nocą powraca mimowoli. Za duszę Kurosza mszęby odprawić.

– On jej już nie potrzebuje – odparł Gamrat.

– Albo... albo... – wtrącił Sobocki. – Ja to mam za ułudny sen zwykły.

– A ja za widzenie prorocze – przerwał Gamrat. – Dwie lecie i para miesięcy... a potem...

Spuścił głowę.

– Za pół wieku grzechów, mało czasu na pokutę!

– A! – zawołał Sobocki – nie jesteście więcej grzeszni nad innych, a Pan Bóg tym co brzemiona wielkie noszą, więcej niż innym przebacza.

Godzina była spóźniona – Gamrat podumawszy szepnął, znak dając Sobockiemu, aby się zbliżył.

– Słuchaj bracie, trwogę mam przed tą nocą, a nikomu się

z nią zwierzyć nie chcę. Spij obok w drugiej izbie, raźniej mi będzie, gdy nie sam pozostanę.

To mówiąc powstał Gamrat i drzwi do sypialni otworzywszy, klasnął w dłonie na służbę.

Sobocki, mało co odzienia zrzuciwszy, pas odpiął i legł na ławie.

Jak noc upłynęła, powiedzieć potem nie mógł, nie pamiętał nic. Gdy pozostał sam, było mu jakoś nie ochoczo i sen z powiek uciekał, więc ze dzbana wina sobie korzennego spory kubek nalawszy, jednym łykiem go wypróżnił, po czym gdy zasnął, nie zbudził się aż o dniu białym.

Arcybiskup stał nad nim już odziany, ale z twarzą od wczorajszej nielepszą.

Zapytał go po cichu Sobocki, czy noc spokojnie przeszła? – na co nie otrzymał odpowiedzi, ale blade i zachmurzone lice świadczyło, że wczorajsze wrażenie jeszcze się nie zatarło.

Następnego dnia, król stary wcześniej się udał na spoczynek, czując znużonym; poufała gromadka domowników około Bony, na jej pokojach gwarzyła jeszcze.

Izby te, które Włoszka zajmowała, choć im na wygodach nie zbywało, dziwnie się wydawały ogołocone i jakby na czas krótki tylko przybrane w to co było niezbędnem, przepych królewski łączył się z zaniedbaniem jakimś i skąpstwem dziwacznem. Gdyby Bona, co się trafiało często, wyruszyć ztąd chciała do Chęcín lub jednego z licznych zamków swych i posiadłości, łatwo było ztąd zabrać wszystko i nie zostawić nic nad ściany

nagie. Cały sprzęt kosztowniejszy był przenośnym. Pewien nieład i pospieszne a obojętne urządzenie na prędcie, było widocznem.

Królowa razem skąpą była, chciwą i o powagę majestatu swego zazdrośną – usposobienie to dawało się poznać w tem co ją otaczało.

Komnata, w której przyjmowała, dość oszczędnie była oświetloną, służba wieczorem już powszednie szaty przywdziała, a karły i panny, które się posługując pokazywały, niemal ubogo były przyodziane.

Obok królowej przy stole, Gamrat, wyrocznia jej, pierwsze miejsce zajmował; reszta mężczyzn, między którymi widać było Opalińskiego, ochmistrza młodego króla, w drugim końcu rozmawiała po cichu. Około arcybiskupa troskliwie chodziła królowa, od dni kilku widząc go jak nigdy ponurym i zasepionym.

Nawet po tej sławnej scenie publicznej, tak upokarzającej, gdy Gamrata do tego przywiedziono, że wstał dziękować za biskupstwo, którego nie miał otrzymać, i musiał zawstydzony sięść, aby Chojeńskiemu ustąpić – nie był tak w sobie zanurzonym i przybitym. Zwykle przynosił z sobą męztwo, uspokajał, rozweselał niecierpliwą się panią – teraz ona jego musiała ośmielać, dodając mu odwagi.

Wymowny i wielomówny, jakby się wyczerpał, siedział tego wieczora milczący, blady, drżący za każdym szelestem, a przyczyny Bona do badać się nie mogła. Była tem widocznie podrażnioną, wszystko co się opierało, zawsze gwałtowny

jej temperament wszelkimi sposobami podbić, ujarzmić, przełamać usiłował.

Mściwa, chytra, przewrotna, nie miała powściągliwości i panowania nad sobą, gdy szło o pokrycie uczuć. Z trudnością przychodziło jej coś ukryć w sobie... wybuchala, aż do szafu się unosząc, choć ją to zdradzało i narażało na szyderstwa nieprzyjaciół.

Tak samo postępowała z mężem, gwałtownością zdobywając wszystko; tak samo z synem, tak z innymi. Potrzeba było ostateczności, najwyższego niebezpieczeństwa, aby się potrafiła na krótko poskromić. Naówczas milczała, zacinała usta, próbowała kłamać, ale tak niezręcznie, iż każdy zgadywał co się w jej duszy działo. Wszystkie środki dobre dla niej były, gdy szło o to, aby na swoim postawić – panowanie nad sobą i cierpliwość ze wszystkich przychodziły najtrudniej.

Gamrata smutek, zmiana humoru nagła, mocno ją dotknęły. Znała człowieka, nie mogło to być bez przyczyny. Badala napróżno. Gniew nią miotał już, bo miała przed sobą tajemnicę, a domysły ją przerażały.

– Mów, co ci jest? – nalegała na niego. – Trwożysz mnie. Sądzić muszę, że ukrywasz przedemną większą klęskę niż ta, którąśmy jawnie ponieśli.

Gamrat musiał w końcu usta otworzyć.

– Miłościwa pani – odezwał się – na tę cześć i poszanowanie, jaką mam dla niej, przysiędz mogę, że chwilowe strapienie, którego przemódz nie zdoławszy, przyniosłem je z sobą, nie

tyczy się ani osoby miłości waszej, ani żadnej ze spraw ważnych, ale tylko mnie samego.

– Masz więc sprawy, które taisz przedemną? – odparła Bona nie ustępując.

– Dlatego tylko, iż małe są, liche, a uszu miłości waszej nie warte – rzekł biskup.

– A przeczże cię tak mocno obchodzą?

– Bom czasami słaby jak dziecko – rzekł Gamrat. – Łaski miłości waszej mnie popsuły.

Pomyślała chwilę królowa

– Wiem już – odezwała się – pewnie Dzierzgowska ci czem dokuczyła... Lecz niech mi się nie pokazuje na oczy! Niewdzięczną jest.

Gamrat nie stanął w obronie przyjaciółki, chcąc się w ten sposób zbyć natrętnego nalegania. Usiłował się otrząsnąć z czarnych myśli, co mu się nie powiodło; w ostatku wygadał się z tem, że przepowiednia krótkiego życia we śnie strwożyła go.

Bona wzięła to do serca...

– Sny są bałamutne – rzekła – najczęściej je na odwrót tłómaczyć trzeba... Na to zresztą są astrologowie, aby pewniejszego coś wywróżyli; ale pytać ich nie trzeba, bo człowiek potem trwoży się i ochota mu do wszystkiego odpada... nie myśl o tem. Ja – dodała zagadując żywo – o co innego musiałam mojego astrologa i doktora badać; chcę wiedzieć, co gwiazdy prorokują młodej królowej. Z Wiednia dostałam horoskop jej, Da Bari pracował już nad nim.

Gdy to mówiła, ciemne jej oczy złośliwą pałąły uciechą.

– Nie długo cieszyć się nią będziemy – dodała – słabowita jest i wrażliwa... Narzucili nam ją gwałtem, niech się nie dziwią, że tu jej posłania na różach nie gotujemy. Mój syn się do niej przywiązać nie może, ja dopilnuję tego... Jednego jego mam, nie mogę narażać na to, aby obcując z chorą sam zdrowie postradał...

– Chora jest? – zapytał Gamrat.

Królowa dziwnie ściągnęła usta.

– Jeżeli chorą nie jest, to nią będzie – dodała cicho – a na to nie potrzeba ani filtrów zadawać, ani szukać sposobów mądrych. Dziecko wątłe, matka była słabowita... pieścić ją nie będziemy. Mówiła przerywanemi słowy.

– Nie dopuszczę, aby syn mój żył z nią – powtórzyła dobitnie na wpeł do samej siebie i całej myśli swej nie chcąc wypowiedzieć. – Król codzien na siłach upada. Syna muszę być pewną, abym moją władzę utrzymała. Jeżeli kiedy, to teraz wszyscy mi potrzebni jesteście... rachuję na was, liczę na Kmitę.

Gamrat nieznacznie bardzo głową potrząsnął. Królowa to spostrzegła.

– Wątpisz o kasztelanie? – zapytała gorączkowo i ciekawie.

– Nie miałem dotąd powodu – odparł arcybiskup – niewątpliwie trzyma z nami, ale z nim jak z ogniem potrzeba obchodzić się ostrożnie. Ogień to jest, przy którym i ogrzać się można i oparzyć. Buta straszna, krew gorąca, życie gotów stawić jednej chwili za to, co jutro oknem wyrzuci. Wszelki opór

go drażni. Któż przewidzi, co jutro mu w tej głowie zaświta... ambicya nienasycona.

– Możeż się skarżyć na mnie? – zapytała królowa. – Mimo wszystkich jego wybryków, wbrew królowi, z największą trudnością go doprowadziłam do najwyższego dostojęstwa.

– Tak, a jutro mu wasza miłość będziesz musiała fraszki odmówić i dla tej fraszki stanie się nieprzyjacielem. Nic go to kosztować nie będzie.

– Ja tak czarno go nie widzę – przerwała Bona – nie miałam powodu uskarżać się na niego. Oprócz Kmity mamy wielu innych, a tych, których potrzebować będziemy...

Bona cynicznie uderzyła się po kaletce uwieszanej przy pasie i szepnęła:

– Kupię resztę!

Zdawała się być tak pewną siebie, że Gamrat nie śmiał jej przeczyć.

– Tych ludzi jak Maciejowski, jak Tarnowski – mówiła dalej – których pozyskać nie można, zostanie garść nieznaczną, ci groźnymi nam być nie mogą. Liczba zawsze przemaga...

– Młody król – wtrącił Gamrat.

Bona mówić mu nie dała.

– Dotąd jest moim. Czuwam nad tem, trzymam go przy sobie, pieczę, dogadzam... Król stary dla niego surowy, królewscy stronnicy przeciwią się mu, wymagają rzeczy wstrętliwych, chcą go mieć rycerzem i wodzem. Obawia się ich, odstręczony jest i nieufny. Zresztą i on tu także...

Dodała wskazując na kaletkę.

– Nie dają mu dosyć... ja go żywię, ja mu pieniędzy daję na fantazyę, a potrzebuje wiele, bo charakter ma szlachetny i upodobania pańskie. Od króla wraca zawsze namarszczony i smutny, przychodzi skarżyć się do mnie... wie, że staram się życie mu osłodzić. Każdy krok jego mi wiadomy, Opaliński o wszystkim donosi... między sługami mam moich, staram się go otoczyć takimi, którzy popsuć nie mogą.

Godzina była spóźniona, Gamrat posepny i nierozmowny wstał nakoniec znużony i całując podaną rękę królowej wyszedł, aby powrócić do siebie.

Troskliwy o niego Sobocki czekał w przedsionku.

Zwolna światła pogasty na zamku, ucichł ruch i strażę tylko zwolna przechadzające się słychać było w mroku przy bramach i murach.

W tej tylko części zamku, którą zajmowała królowa, od czasu do czasu dawały się widzieć przemykające światełka, naprzemian ukazujące się w różnych oknach, niknące nagle i wracające po chwili, jakby tu życie nie ustawało.

Niespokojna, niezmordowanie czynna, podejrzliwa, zawsze coś mająca do spełnienia, co się tajemniczo i w ciemnościach dokonywać musiało, zdawała się nie usypiać nigdy, tak jak jej służba spoczynku nigdy nie miała. Wstawano tam, gdy wszyscy się spać kładli, zasypiano na chwilę gdy inni wstawali, a gorączkowe krzątanie się i niepokój, wszędzie otaczały Bonę.

Oprócz znanych ludzi co ją otaczali i którymi się posługiwała,

nie było dnia, ażeby tu nowi, obcy przybywający z różnych stron świata się nie zjawiali. Włosi ze wszystkich prawie państw i miast, Niemcy, cudzoziemcy z zachodu, a teraz też Turcy i Grecy, z którymi Bona ukrywać się musiała, prowadząc politykę na swą rękę dla Izabelli w Węgrzech.

Pod różnemi pozorami, jako kupcy, jak mnichy zbierający jałmużnę na klasztory wschodu, zjawiali się tu wysłańcy z Konstantynopola, szpiegi i ludzie z listami.

Z mnogich majątności, które królowa trzymała w różnych częściach Polski, z jej księstw włoskich, ze wszech krajów świata krzyżowali się tu jej posługacze i pomocnicy.

Najpilniejszy nadzór nie mógł odkryć tych wszystkich nici tajemnych, jakimi ona opłatywała starego króla, oszukiwała najbaczniejszych stróżów, częstokroć w niwecz obracała wszystkie zabiegi przeciwników swoich.

Skąpa i chciwa, tam gdzie było potrzeba szafowała pieniędzmi i rachowała nadewszystko na nie, rzadko się myląc w rachubie.

Zaledwie noc przeszła i na brzask się zbierało, najwcześniej też w części zamku przez Bonę zajmowanej ruch się dał uczuć i ludzie snuć zaczęli.

Królowa zaledwie zbudzona przyjmowała jednych w łóżku, drugich powstawszy z niego, nie tracąc chwili jednej. Z rana i wieczorami ułatwiały się te sprawy, których dzień i światłość nie powinny były oglądać.

Nieodstępna faworyta pani, jak ona niespoczywająca nigdy, na zawołanie ciągle przy niej, zjawiająca się na skinienie, była

wychowana i ułożona przez nią do tej służby, do milczenia, do posłuszeństwa niewolniczego, dziewczyna Włoszka, którą zwano mniszką Maryną. Przydomek mniszki winna ona była czarnemu, niepozornemu, krojem niemal zakonnym ubraniu, i kwefowi który nosiła, nigdy nie zmieniając tego stroju, i pokornej a skromnej, nic niemówiącej twarzyczce.

Mniszka Maryna nie opuszczała jej ani dniem, ani nocą. Obojętna na wszystko, dla wszystkich była to nie już sługa, ale martwe jakby narzędzie. Na jej licu wyżółkłem rysów nieregularnych, które ją starą przed czasem czyniły, nikt nic wyczytać nie mógł. Były jak kamień niezmiennie jedne, bez wyrazu. W oczy nikomu nie patrzyła, ani sobie zajrzeć nie dawała. Mówiła rzadko i półsłowami tylko. Obawiali się jej wszyscy, nikomu się do siebie zbliżyć nie dawała.

Kiedy i gdzie odpoczywała mniszka Maryna, nikt nie wiedział; o północy równie jak nadedniem przychodziła na znak ubrana zawsze jednako, gotowa zawsze do posługi. Bona nie potrzebowała mówić z nią wiele, Maryna rozumiała jej wejrzenie.

Pod rozkazami tej sługi, acz niewidocznie, cały fraucymer królowej czuł się i zostawał.

Jedno słowo Maryny często stanowiło o niełasce i wygnaniu, a prosić jej o pobłażanie było próżnem.

Nie gniewała się nigdy, to jest nie okazywała nikomu gniewu, lecz mściwą była bez litości i nieprześląganą dla tych, co się jej narazili.

Do pomniejszych posług stało zawsze u drzwi kilka panien, a w izbie w kącie para karłów. Nocą i dniem ktoś zawsze czuwać musiał w antykamerze, ktoś na posyłki gotów był, bo w godzinach najniezwyczajniejszych królowa wydawała rozkazy, które bez zwłoki spełnione być musiały.

I następnego poranka, nim około komnat starego króla życie się powoli objawiać zaczęło, a stróże cicho wymiatający korytarze, drzwi otwarli na krużganki, u królowej paliły się światła, i Bona w krześle ostawionem poduszkami, nogi sparszy na podnóżku, przy stole czytała papiery, które czekały od wczora i te które Maryna rano jej przyniosła.

Cicho przesuwali się już w ciemnościach ludzie do tego dworu należący.

Pierwszym, który nie pytając otworzył drzwi i wsunął się do izby, był lekarz zwykły Bony, Jan Antonio z Maceraty, Włoch i sługa jej zaprzędany.

Doktorów kilku i astrologów miała przy sobie Bona, Jan Antonio był jeśli nie najcudowniejszym, to tym, który ją znał najlepiej i najzręczniejszym obchodzić się z nią umiał.

Bona miała w nim zaufanie, chociaż i on, gdy lekarstwo dać musiał królowej, podlegał temu prawu co inni: sam wprzód zmuszony będąc się go napić, aby nie było trucizną.

W obawie o swe życie, posądzała nieprzyjaciół, że na nią czyhali. Nie zrzucała też z palca i z piersi kamieni i amuletów, które wedle ówczesnych przekonań antidotami przeciwko truciznom być miały.

Jan Antonio był mężczyzną w sile wieku i czystej krwi Włochem, z tą fizyognomią ruchomą, pełną wyrazu i życia, z temi gestami dobitnymi rąk, głowy i całej postaci, od których Włochom wstrzymać się tak trudno. Zwano go na dworze pospolicie Macerata, a słynął z niezachwianego dobrego humoru, którego nie mając często, silił się zrećźnie z nim popisać. Obracać zwykł był w żarty najgroźniejsze rzeczy, o tyle, o ile Bona wzrok pozwalał... Znał on swą panią tak dobrze, iż niemal z fałdów sukni mógł odgadnąć, w jakim była usposobieniu.

Nim skłoniwszy się w progu doszedł do stołu, przy którym siedziała pani, Macerata już wiedział, że Bona była podrażnioną i niespokojną.

Trzymała w ręku rozłożony półarkusz papieru, którego zgięcia listu się kazały domyślać. Spojrzała nie rzucając go na Maceratę.

Nic nie mówiąc ujął podaną mu rękę i chwilę potrzymał. W milczeniu popatrzył na język, i skłonił się.

Wyszeptane słowo cichutko miało oznaczać, że wszystko znalazł w jak najlepszym porządku, Bona milczała. Czekał stojąc rozkazów. Rzuciła papier na stół.

– Giovantonio – odezwała się – pilno mi czuwaj nad Dzemmą! Jestem o nią niespokojna.

Macerata głowę pochylił.

– Zdrowa jak rybka – rzekł pokazując zęby białe.

– A czyni się chorą? – przerwała Bona.

– Kaprysy rozpieszczonego dziecięcia – rzekł lekarz.

– Którym do czasu dogadzać potrzeba – szybko dodała Bona. Macerata dał do zrozumienia miną, iż doskonale wiedział o co chodziło.

Królowa palec przyłożyła do ust.

Włoch nachylił się ku niej i szeptać coś począł.

Wtem w przedpokoju ledwie dosłyszany szmer pochwyciło ucho starej pani, wyprostowała się i Maceracie wskazała drugie drzwi do wyjścia, w których za kurtyną blada twarz czujnej Maryny się pokazała. Cichemi kroki wyniósł się na palcach idąc Giovantonio.

Maryna podbiegła ku drugiemu wnijściu, uchyliła drzwi, i w nich ukazał się słusznego wzrostu mnich w czarnych sukniach zakonników św. Franciszka. Czarny, bujny włos wieńcem okalający mu wygoloną nieco głowę, wielkie oczy wypukłe, twarz rysów pięknych ale zbyt grubo wyciosanych, szerokie usta z wargami mięsistymi, rozumnego ale namiętnego zapowiadały człowieka. Pokory tej i uniżoności, jakimi odznaczali się mnisi tej reguły, wcale w nim widać nie było. Wchodził śmiało i pewien siebie.

Królowa nie ruszyła się na powitanie i nie okazała mu zwykłego dla duchownych, będącego w obowiązku uszanowania. Ukłonił się kilka razy zbliżając ku niej, na co ledwie skinieniem głowy odpowiedziała.

Maryna już w drugich drzwi zasłonie znikła, gdy się do stołu przybliżył.

– Padre Francesco – odezwała się Bona – dlaczego tak was

dawno na zamku nie było?

I nie dając mu się tłumaczyć, niecierpliwie ciągnęła dalej.

– Wiesz, prosiłam was, abyście mi młodego króla zabawiali. Wiesz jak go wasze kościelne te kwestye zajmują, jak rad czyta i słucha o nich. Powinniście mu dostarczać ksiąg, starać się go rozrywać waszą rozumną rozmową...

– Miłościwa pani – odparł Ojciec Franciszek Lismanin – nie jestem na dworze zbyt dobrze widzianym przez duchowieństwo polskie, sarkają na mnie, podejrzewają nawet o herezję.

– Co cię to ma obchodzić – zawołała Bona – nie powinienesz się ani lękać ich, ani zważać. Arcybiskup Gamrat obroni was zawsze.

Lismanin głową pokręcił.

– Szanuję Jego Eminencyę – rzekł – ale w tych sprawach, gdy o herezję chodzi, obawiam się jej... Któż tu w Polsce inkwizycyę tak surową zaprowadził? kto dał spalić staruszkę Malcherowę, która nie wiedziała sama co plotła?

Bona poruszyła ramionami.

– Gamrat zrobi co mu każe – rzekła. – Młody król właśnie te wasze drażliwe kwestye śledzi i niemi się zajmuje... on przecież was nie zdradzi.

– Tak – ale mury mają uszy – rzekł Lismanin.

– Boisz się aby i ciebie nie spalono? – rozśmiała się Bona, ruszając ramionami. – Proszę cię, otrząśże się z tych dziecinnych postrachów. Bądź dzisiaj u młodego króla, potrzebuje roztargnienia... Przynieś mu jakie księgi nowe...

Kocha się w nich.

Lismanin słuchał nie odpowiadając.

– Po księgi – dodał po chwili – należałoby właściwie jechać za granicę. Tu ich niedostać, bo duchowieństwo polskie surowo czuwa i nad tem co z Niemiec idzie, i cokolwiek bibliopole przywożą.

– Poślij kogo! – szepnęła Bona.

Lismanin ręce złożył.

– Nikomu, nikomu w tej sprawie zawierzyć nie można – rzekł pospiesznie – o gardło idzie. Ja sam musiałbym się chyba ważyć, i to nie inaczej jak polecenie mając królewskie, bo by mi celnicy na granicach zabrali co tylko drukiem pachnie.

Poruszył ramionami mnich.

– Pojadę jeśli W. K. Mość rozkażesz – dodał.

– Nie teraz – szybko i kwaśno przerwała królowa i rzuciwszy nań okiem, dokończyła:

– Idź dzisiaj do młodego króla!

Skłonił się mnich. Posłuchanie było skończone, franciszkanin wychodził po cichu. Zastona ledwie za nim zapadła, gdy pięknej postawy, dorodny mężczyzna, typ prawdziwie polskiej krwi i wielkiego rodu, ukazał się w progu.

Spojrząwszy na tę twarz pogodną, jasną, na oczy śmiało spoglądające, na całe oblicze nacechowane odwagą i rycerskim wyrazem, zadziwić się było można, znajdując ją tu o mroku w komnacie starej królowej. Lepiej się dopiero wpatrzywszy w zwodnicze te rysy, dostrzedz w nich się dawała skryta

przebiegłość jakaś i udanie otwartości pokrytej butą szlachecką. Królowa z przyjemnością wpatrywała się w piękne to męskie oblicze. Nowy gość był ochmistrem młodego króla, Opalińskim.

Przyciągnęła go tu do Bony w części ambicya wielka, która z jej pomocą spodziewała się zaspokoić, po części nieprzyjaźń z Maciejowskimi i Tarnowskim różniąca.

Opaliński jawnie i skrycie służył Bonie, on jej donosił o każdym kroku syna, o każdej myśli, zamiarze, pragnieniu jego. Pomniejsza służba przekupiona pomagała jej do skontrolowania tego co Opaliński przynosił.

Bona uśmiechnęła mu się wdzięcznie, dając ręką znak aby się zbliżył. Jako oznakę łaski białe pulchne palce, okryte pierścieniami, wyciągnęła do pocałowania.

– Nic nowego u nas – odezwał się Opaliński – ale też nic złego. Król zdrów i chmury smutku powoli uchodzą. Staramy się go rozrywać i weselem naszym obudzać w nim myśl dobrą.

– Co robił wczoraj wieczorem? – spytała Bona.

Znakiem tylko jakimś niezrozumiałym, wskazując ręką odpowiedział Opaliński, i dodał prędko.

– Czekamy na wysłańca, który miał nam rzeźbione kamienie zamówione we Florencji i medale przywieźć. Niecierpliwie król ich wygląda, chociaż – rzekł ciszej – nie wiem czy je będziemy mieli czem opłacić.

Królowej ta wiadomość nie zdała się być przykrą, uśmieszek usta jej przebiegł.

– A! tak – szepnęła – będzie się musiał uciec do matki, bo ojciec skarciłby go tylko surowo. Wie że na mnie rachować może, choć i mnie bardzo jest ciężko... Moi rządcy i dzierżawcy źle się wyplacają. Pieniądzy nie ma a rachunków podostatkiem!

Opaliński złożył papier na stole, cichym szeptem go objaśniając. Bona włożyła go za pas sukni... krótkie posłuchanie się skończyło.

W oknach coraz jaśniejszy dzień przeglądał z za zasłonek, dzwony w katedrze wołały na ranne nabożeństwo, na zamku słychać było rzenie i tentent koni, turkot wozów, wołanie pachołków.

Maryna przyszła niepotrzebne już zabrać światło... a w progu pokazał się pokornie bardzo, do ziemi kłaniający się szlachcic, niepocześnie ubrany starą modą. Rękę, w której trzymał czapkę, tak wyciągnął, że nią prawie zamiótł ziemię.

Gdy podniósł potem wygoloną głowę, nie śmiejąc przystąpić bliżej – twarz się ukazała ogorziała, wąsata, rysów pospolitych ale energią napiętnowana... Pozdrowił królowę po łacinie. Był to Stanisław Falczewski, rządcza ówczesny Krzemieńca, który królowa trzymała.

Przyjeżdżał z pieniędzmi i raportem. Pierwsze już wczoraj oddał był do skarbcza, drugi miał złożyć ustnie.

Począł więc od utyskiwania. Nigdzie i nigdy trudniej iść nie mogło, jak Falczewskiemu w Krzemieńcu. Wadzili mu tu wszyscy: mieszczanie, żydzi, sąsiedzi, duchowieństwo... Ponośli

same kłęski, nie mógł zapobiedz stratom, ledwie żyw już broniąc interesów swej pani, zwłókł się aby uniewinnić i prosić o pomoc, o listy królewskie, o większą władzę itp.

Całej tej mowy królowa wysłuchiwała spokojnie, nie okazując aby ją bardzo poruszyła. Spoglądała to na Falczewskiego, który się wysilał na retorykę, to na posadzkę, a gdy nareście wyczerpawszy się skończył – zaczęła zadawać pytania.

Zdumiewać się było potrzeba tej pamięci z jaką badała Bona o stan swych krzemienieckich posiadłości i pan Stanisław nieraz słuchając powiódł ręką po czole, bo poty nań biły.

Królowa pamiętała o wszystkim, o mostach, młynach, stawach, o swoich karczmach, o szynkach, o sporach granicznych, o najmniejszych gospodarskich szczegółach.

Falczewski ledwie na wszystko odpowiedzieć umiał i zająknął się nieraz.

Nastąpiły rozkazy i rozporządzenia, którym równie zdumieć się było można, tak rozumne były i obrachowane, aby stan posiadłości polepszyć.

Na różne pojedynczych ludzi prośby i skargi odpowiadała w większej części odmownie. Falczewski nie mógł wyjednać wiele.

Królowa też czasu już nie miała na dłuższą z nim naradę, w drugich drzwiach czekały na nią córki, które przychodziły z rannem pozdrowieniem do matki, a godzina się zbliżała, w której Bona zwykle starego króla odwiedzała.

Ciszej, spokojniej, było w komnatach, które Zygmunt

zajmował. Około Bony wrzało nieustanne życie, tu wszystko obrachowanem się zdawało, aby sędziwemu panu pożądanego nie zakłócić pokoju.

Tam pośpiech widać było wszędzie, tu rozważną powolność. Na swych miejscach z rozpoczynającym się dniem byli dworzanie, urzędnicy, służba i ci, których król pierwszych mógł potrzebować.

Duchowieństwo w większej liczbie razem z świeckimi panami dwór składało.

Cierpiący na bole w stawach, na łamanie w kościach, znużony długimi życia walkami, król był ociężałym i zubożniałym, milczącym i smutnym.

Rzadko bardzo i to na małą chwilę uśmiech blady twarz jego zasepioną ożywiał.

W młodości już miała ona wyraz surowy, który z wiekiem i cierpieniem stał się prawie groźnym, choć natura łagodną była i dobrą.

Nigdy Zygmunt nie miał wymowy Olbrachta, ani żywości charakteru kardynała, teraz słowo dobywało mu się z ust trudno, krótkie i rzadko weselsze.

Ulegał Bonie, bo sił już w sobie nie czuł do walczenia z nią, a Włoszka aż do szaleństwa się posuwała, jeśli opór znalazła... i padała na ziemię krzycząc, aby na swoim postawić.

Widok też królowej teraz czynił na nim wrażenie przykre. Wiedział że nigdy mu nic nie przyniesie dobrego, ale wymówki, wyrzuty, żądania lub narzekania na ludzi, których on znał

najlepszymi przyjaciółmi swojami.

Z obawą też wyglądał przyjscia – i szelest jej sukni jeszcze czarniejszą chmurą twarz jego posępną oblekał.

Lecz ile razy mocniej zachorzał, rozbrajała go Bona nadzwyczaj wielką troskliwością o jego zdrowie. Naówczas nocami nie odchodziła od jego łoża, sama mu podawała lekarstwa i pokarmy, żadną siłą od niego oderwać jej nie było można.

Wstał był król późno i z kapelanem odmówił zwykłe modlitwy, po których przybyli lekarze opatrzyć nogi, dowiedzieć się jak noc spędził... i przyniesiono ranną polewkę i śniadanie.

Król siedział jeszcze za stołem, na którym naczynia stały z resztkami jadła, gdy Bona, czarno ubrana, z głową zakwefioną ukazała się na progu.

Przyjście jej zawsze było znakiem dla służby i dworu, ażeby się oddalili i nie zjawiali chyba na zawołanie.

Często rozmowa ta ranna, z początku cicha, stopniami coraz głośniejsza, przeradzała się w tak krzykliwą i gwałtowną, że dworzanie truchleli o pana, bo po każdej potem odboleć musiał i godzinami siedział jak martwy, odrętwiały, milczący.

Poprzedzającego dnia królestwo źle się rozstali z sobą, Bona czyniła mężowi wymówki, podnosiła głos, rzucała się, zaciskała pięści, chwytła się za włosy, król milczący patrzył i chwilami mruczał: – Głupia (Fatua). Wyrzuty wszystkie tyczyły się małżeństwa z Elżbietą, którego nie życzyła sobie Bona – król obstał przy swoim. Rozeszli się nieprzejednani. Wieczorem

króla chwyciły w nogach i stawach boleści, ale zakazał dać o tem znać Bonie; lekarz zwykły, Polak, Błoński go opatrzył.

I tego więc dnia spodziewać się było można burzy, wybuchu, wznowienia walki, chociaż ona już królowę do niczego doprowadzić nie mogła, bo układy ostateczne w Wiedniu zostały zawarte i na przyszłą wiosnę oznaczono termin przybycia młodej pani.

Znając niepokonany upór Bony, król z rezygnacją wyglądał nowej napaści. Siedział ponury, spojrzął ku wchodzącej zimno, surowo i nie spieszył jej pozdrowić.

W izbie, oprócz króla, znajdował się jeden stary jego sługa Lula Skotnicki, który jeszcze czasy szczęśliwsze Barbary Zapolij, pierwszej małżonki Zygmunta pamiętał, i kapelan ks. Słomka. Oba oni natychmiast się przez najbliższe drzwi wycofali. Małżeństwo pozostało same.

Stary oczekiwał już zgryźliwego jakiego słowa, gdy powtórnie wejrząwszy na królowę, spostrzegł na jej twarzy znany sobie wymuszony spokój, który wprawdzie nie obiecywał nic dobrego, ale chwilowe zawieszenie broni zapewniał.

Długie pożycie z tą kobietą nauczyło Zygmunta wszystkich jej podstępów wojennych, manewrów strategicznych. Gdy chwilowo tego co zamierzała do skutku przyprowadzić nie mogła – królowa wówczas przybierała tę upokorzoną postawę zwyciężonej – a choć udawanie przychodziło jej ciężko i nikogo właściwie oszukać nie mogło, oznaczało, że wyczekiwać postanowiła.

W tym stanie ciała i ducha, w jakim król się znajdował

– i ten chwilowy spoczynek był mu pożądanym. Osłabły rad był spocząć czas jakiś. Nie łudził się wygraną, bo znał nieprzyjaciela, lecz miło mu było nie słyszeć wrzawy i nie znosić nieznośnego krzyku.

Bona, jak gdyby o dniu wczorajszym zapomniała, zbliżyła się, kręcąc głową, sznurując usta i cichym, złagodzonej głosem dopytując małżonka o zdrowie.

Wyciągnięte na podnóżku i okryte futrem nogi świadczyły już same że był cierpiący. Zygmunt spojrział na nie i wskazał ręką.

– Jak zawsze – rzekł – miałem nocą boleści w kolanach, w stawach, ale mi Błoński dał smarowanie, które ulżyło nieco.

– Dlaczegoż nie dali mi znać o tem? – żywo odparła królowa – jabym była sama dopilnowała... i przyprowadziła z sobą Maceratę.

– Nie potrzeba go było – rzekł Zygmunt.

– Wolisz swoich Polaków? – zaczęła Bona z przekąsem – choć to są zarozumiałe nieuki. Lecz my wszyscy Włosi straciliśmy pańską łaskę, a jednak powinniśmy byli zasłużyć na nią, bo bez wymówki, wieleśmy tu przynieśli z sobą.

– A! nie przeczę! – odparł król z uśmiechem – wdzięcznym jestem. Włosi się na mnie skarżyć nie mogą. Służyli mi, alem niewdzięcznym nie był.

Królowa siadła na krześle, sparała się na rękę u stołu, twarz starając uczynić smutną, cierpiącą, jakby zbolała.

Natura jej gwałtowna nie dozwalała długo utrzymać się w mierze, musiała, choć z innego tematu, wznowić żale.

– Kraj ten byłby dotąd na pół barbarzyńskim – odezwała się – gdyby nie nasi budowniczowie, kamieniarze, artyści. Teraz on inaczej wygląda, dzięki Włochom.

– Włosi też twoi dość ztąd pieniędzy wynieśli – rzekł król – bo kazali sobie płacić dobrze.

– Zapracowali na to – odparła królowa.

Zygmunt rękę położył na stole, przebierać zaczął palcami po nim, wpatrzył się w podłogę i milczał. Ból w stawach nowy wycisnął z ust jego syknienie, królowa poruszyła się zaraz dopytując czyby nie potrzebował czego.

– Nie, nie, przeszło to już – zamruczał stary.

Bona usiadła, milczenie panowało chwilę.

– Gamrat też chory czy nie wiem co mu jest – odezwała się po przestanku. – Na twarzy i humorze się zmienił, posmutniał, jakieś przeczucia krótkiego życia go opanowały.

Zygmunt brwiami poruszył i potrząsł głową.

– Gamrat? – powtórzył – ależ nie stary wcale jest i życiem się nie zmęczył, chyba nadużyciem...

Królowa się zżymnęła.

– Zawsze te potwarze – odparła. – Zaprawdę nie gorszy jest od innych, ale wielu solą w oku. Naraził się i heretykom i katolikom, bo nam służył wiernie.

– My też jemu! – zamruczał Zygmunt. – Lepiej się nie obliczać, bo niewiadomo ktoby został dłużnym.

I jakby znużony już temi odpowiedziami, król na piersi zwiesił głowę. Bona знаła go, że mówić wiele nie lubił. Dała mu

spocząć nim się znowu odezwała.

– Cóżście postanowili – rzekła – dla syna? Panowie litewscy ciągle się go dopominają, aby jechał do Wilna uczyć się rządu sprawować, ale zawczasu go zaprzęgać, nie widzi mi się.

– W tem jesteśmy zgodni – odparł Zygmunt. – Później zobaczymy. Naprzód ożenić go potrzeba i widzieć jak się to stało dobrze. Władzy rozdawać nie myślę. Nie mam jej nadto, abym się nią dzielił. Na każdym kroku opór spotykam.

– Zbytnią powolnością ich rozzuchwaliłeś sam – rzekła Bona. – Miałeś przykład na włoskich książętach wielu, którym miasta i patrycyusze z ludem także stawili opór nieraz; kilka głów spadło... i panowanie się ustaliło.

– Krwi rozlewu nie lubię – rzekł król krótko, poruszając głową znacząco – inny kraj, inny obyczaj. Polska nie Włochy.

– Widzi mi się, że tuby łatwiej jeszcze pożyć ich można – wtrąciła Bona – ale dziś zapóźno: kto zawczasu nie poczał, porywać się później nie może.

Nie odpowiedział Zygmunt.

– A! to małżeństwo – wyrwało się jakby mimowoli starej pani, której oczy się zaiskrzyły i usta sfałdowały namiętnie – a! to małżeństwo. Napróżnom odradzała, próżno błagałam, twoi przyjaciele postanowili mnie na przekór.

– Wiesz, że to zdawna było umówione w Wiedniu. Byli dziećmi, gdyśmy ich zaręczyli – zamruczał król niechętnie – daćby już pokój zapóźnym żalom.

– A! wiem bardzo dobrze – poczęła ożywiając się Bona – że to

dzisiaj już wszystko próżne. Stało się, co się stać nie było powinno. Dajcie mu żonę, z którą on żyć nie będzie mógł.

Król spojrział z rodzajem podziwienia.

– Mówiłam wam: to dziecko schorowane, wątłe, które odraze nie miłość wzbudzić może...

Nie chcąc odpowiadać Zygmunt, niemymi ustami poruszał. Zrezygnowany był słuchać wyrzutów i pogrózek, nie podsycając rozmowy o niemiłym przedmiocie.

Wszystko to już słyszał nie raz i nie raz odpowiadać na to był zmuszonym. Zadumany nie zważał nawet na sypiące się z ust Bony słowa, i królowa spojrzawszy na niego, przekonać się mogła, że był myślami gdzieindziej.

Nie wstrzymało ją to od tych narzekania, które, jak wczora, nie przerodziły się wprawdzie w krzykliwe i gniewliwe wyrzuty, ale niemniej dokuczliwymi były.

Król zdawał się wyglądać i czekać na coś, coby go wybawiło.

Bona w końcu umilkła, widząc niemożność wywołania sporu, od którego stary się bronił milczeniem.

Kilka spraw mniejszej wagi było na porządku dziennym. Zażądała podpisów na przywileje dla swoich miasteczek. Rów miała na Bar przerobić. Dla swoich przyjaciół chciała tytułów i urzędów. Zygmunt na wszystko przystawał. Małemi temi ustępstwami rad był pokój okupić. Zgadzał się, poruszeniem głowy tylko okazując, że się nie przeciwi.

Dnia tego nawet czynił zadość żądaniom daleko łatwiej niż zwykle – znużonym był.

Bona otrzymawszy co chciała, powstała z siedzenia, powtórzyła raz jeszcze, aby kanclerzowi i podkanclerzemu król listy wyprawić nakazał, i głową zegnając męża zdala, wyszła.

Na twarzy Zygmunta, gdy zasłona opadła za nią, odmalowało się widocznie uspokojenie. Oddychał swobodniej teraz. Myśl starca pobiegła w przeszłość i łza zakręciła się w oku. Przypomnił sobie tego anioła, Basię swą, pierwszą żonę, z którą pożycie było tak szczęśliwe, którą kraj cały kochał z nim razem, a po zawczesnym zgonie dotąd opłakiwał.

Sam się widząc, ostrożnie dobył król ze stolika, w kształcie pugilaresu złożonej książeczki... otworzył ją i wpatrzył się w wizerunek Barbary. Łagodnie, smętnie ona też patrzyła nań z tego obrazka, na którym malarz wyobraził ją młodziuchną, taką jaką tu raz pierwszy przybyła, pokorną, pobożną...

Przez całe też życie nie zmieniła się dobra, pół święta pani, której modlitwom i postom przypisywano powszechnie zwycięstwo pod Orszą odniesione.

Jak anioł cicho, sypiąc dobrodziejstw, łagodząc bole, zapominając o sobie przeszła przez ten świat, nie skarżąc się nigdy i opuszczając go z modlitwą na ustach.

Po Barbarze nie miał męzkiego potomka, po cóż go naówczas panowie senatorowie zmusili wziąć drugą żonę? po co pięknnością Włoszki i jej bogactwami ujęci posłowie tak mu ją zalecali?

Tak prędko owa dziewczica pełna rozumu, nauki, nieporównanego wdzięku postaci, zmieniła się w zrzędnicę nieznośną, która i królowi i królestwu nie dawała pokoju.

Tak! ale ona dała obojgu tego upragnionego potomka płci męskiej, w którym płynęła krew Jagiellonów i z niego rozrodzić się miała.

Westchnął Zygmunt, zaszeleściło około drzwi, schował prędko pugilares zamknięty, przeszłość szczęśliwa musiała pierzchnąć ustępując rzeczywistości.

W progu pokazał się ten sam Lula Skotnicki, stary, siwiejący już dworzanin królewski, który przed królową ustąpił. Zaglądał on do pana, czy nie potrzebował czego. Zygmunt zwrócił ku niemu łagodnie rozjaśnione oblicze.

– Lula – szepnął – zobacz czy nie ma ks. Samuela?

– Oddawna w kancelaryi czeka – odparł Skotnicki.

– Niech przyjdzie – rzekł Zygmunt.

Dworzanin pośpieszył z rozkazaniem i po chwilce ks. Samuel z wiązką papierów i pergaminów stał przed królem, który milcząco witał go poruszeniem głowy.

Zobaczywszy brzemień, które niósł podkanclerzy, uśmiechnął się brwi w górę poruszywszy.

– Jest co podpisywać miłościwy panie – zaśmiał się biskup, który na rogu stołu złożył listy i przywileje. – Poprzednicy miłości waszej nie zadawali sobie pracy rękę własną przykładać do listów, dość było pieczęci...

– Ha! – zaśmiał się król – trzebaż okazać, że król choć pisać umie.

I wskazał miejsce Maciejowskiemu, który nie spiesząc do pracy spytał o zdrowie.

– Cierpiałem w nocy – rzekł król – we dnie zawsze bole mi folgę dają. Jesień nadchodzi, jest to pora w której najwięcej cierpię, trudno *senectus ipsa est morbus*<sup>1</sup>.

– Pomnijcie, miłościwy panie, na dziadka waszego Jagiełłę – rzekł Maciejowski – krew macie i siłę jego, a ten do późniejszej starości zachował moc i zdrowie.

– Tak – odparł Zygmunt – ale żył inaczej. Jam może przeszedł go siłą, bom łamał podkowy w rękach i gniótł puhary srebrne, ale dziś już i spruchniałego kija bym nie skruszył.

Westchnął stary i zadumał się.

Nie mówili o tem więcej.

– Młodego (król czasem tak zwał syna) nie widzieliście? – zapytał Zygmunt.

– Od wczoraj nie – rzekł Maciejowski.

– Nie wiecie jak przyjął wiadomość o postanowionem małżeństwie? – dodał stary król.

– Wcześniej przeciwko niemu go starano się usposobić – począł Maciejowski – trudno się spodziewać, aby temu wpływowi oparł się o własnej sile. Lecz rzecz to nie nowa. Narzeczoną swą zna z listów, wie że mu serce zawczasu przeznaczone przyniesie, że jest pobożnie przez matkę wychowaną. Nie daje nic znać po sobie... miłostki młode zapomnieć się muszą, aleby dobrze było zawczasu im tamę położyć.

---

<sup>1</sup> *senectus ipsa est morbus* (łac.) – sama starość chorobą (Terencjusz, *Phormio*, akt IV, scena I). [przypis edytorski]

Król począł się marszczyć.

– Jak? – spytał krótko.

– Ze dworu królowej oddalić miłośnicę – szepnął cicho Maciejowski.

Zygmunt oburącz głowę objął... nie mówiąc nic okazywał, jak wielką w tem widział trudność.

– Wydaćby ją za mąż wyposażywszy – dodał ks. Samuel – znajdzie się nie jeden, co się o ładną lalkę pokusi...

– Nikomu jej dziś nie dadzą – szepnął Zygmunt – nadto jest potrzebną. Musiałbym o nią rozpocząć wojnę.

– Nie moja rzecz intrygę zwalczać intrygą – mówił dalej, ciągle szepcząc Maciejowski – stan mój na to nie pozwala, charakter się tem brzydzi. Ktoś innyby to powinien dokonać i uwolnić nas od niej zawczasu.

Nie odpowiadał król długo, ale myślał zasepiony, westchnął razy parę i w końcu zamruczał.

– Na co się to zdało? alboż druga w jej miejsce podstawiona się nie znajdzie, gdy jej za narzędzie użyć będzie potrzeba?

Jest ich dosyć we fraucymerze, co się chętnie podejmą kusić...  
Zamilkł.

Ks. Samuel, jakby zwyciężony tym argumentem, milczał także; ale myślał że popróbować usunąć tę o której wiedziano powszechnie, iż młodemu panu najulubieńszą była, nie szkodziłoby jednak – wstręt miał wszakże do takich się uciekać sposobów, choć w poczciwej sprawie. Oręż to był nieprzyjaciół, nie jego.

Zwrócił się ku papierom i przerzucać je zaczął, przysposabiając się do poddania ich królowi, który już do blisko stojącego kałamarza i pióra sięgnął, aby się do podpisywania przysposobić.

Podkanclerzy czytał treść każdego dokumentu, a często nie potrzebował nawet do końca jej dopowiedzieć, bo Zygmunt dawał mu znać iż rzecz, o którą chodziło, pamiętał.

Dziwnem to było, że złamany na ciele i na duchu, często się zapominający w potocznych sprawach, gdzie o ważniejsze chodziło, budził się jakby z uśpienia Zygmunt i całą dawną żywość umysłu odzyskiwał.

Gdy niewieści krzyk i swar mu nie dokuczał, wracała pamięć, rozważa, rozum – starość czuć mu się nie dawała. Lecz teraz były to błyski pogody rzadko trwające długo, każda waśń z Boną, każda przeżyta godzina jej wyrzutów, odbierały mu siły i pogrążały go w tej odrętwiałości, z której potem trudno mu dźwignąć się było. Naówczas wszystko przyjmował obojętnie, zimno, milcząco, zdając się mówić: Dziej się co chce! Opatrzność niech rządzi! Stanie się co jej wola!

Temi nawet słowy zniechęcony odpowiadał czasem ks. Samuelowi, wyrzekając się walki, z której nie spodziewał się wyjść zwycięzko.

Tym bezsilnym chwilom zubożenia, z których umiejętnie korzystała Bona, winna ona była wzrost swej władzy stopniowy, i zwątpienie ogarniało przyjaciół króla, przewidujących, że wkrótce wszystkim ona jedna zawładnie.

Młody król mieszkał na zamku, choć ten nadzór nieustanny, na jaki go wystawiał pobyt pod bokiem ojca i matki, ciężył dwudziestokilkoletniemu panu.

Litwini domagający się od dawna, nalegający aby go im dano na wielkie księstwo, mieli w nim chętnego ale milczącego sprzymierzeńca. Więcej swobody pragnął i wyrwać się był rad dawno z pod opieki rodziców.

Któż wie? król byłby zezwolił może, aby się zawczasu wprawiał do przyszłych rządów, aby pracował więcej a mniej się rozrywał, ale królowa opierała się temu potajemnie, wymyślała niebezpieczeństw tysiące, była przeciwną ofierze choć najmniejszej części władzy, którą całą sobie chciała przywłaszczyć.

Zabiegi o to czyniła tak skrycie, iż syn nie domyślał się w niej przeciwnika, widział go w ojcu.

Matka zresztą najczulszą była dla niego, ale chciała, aby wszystko co miał, otrzymywał z jej ręki, aby jej winien był wszystko.

Zygmunt August wychowany przez nią, choć miał kilku Polaków przy sobie, choć dwór jego z nich się składał, dzięki wpływowi i staraniom matki, wychował się raczej na książątko kosmopolitę, niż na polskiego tronu następcę.

Nawykły do pieaszczot, elegancyi, ogłady włoskiej, do świata wytworzonego, choć umysłowo rozwinął się jak najszczęśliwiej, umiał wiele – najmniej był rycerzem, tam gdzie przeważnie

królowi nim być przystało.

Przepowiednia owa starego szlachcica, gdy z pierwszej wyprawy królowa strwożona doniesieniami zawróciła go do Krakowa – przepowiednia, iż na wodza i rycerza nie urośnie, w pełni się ziściła.

August lubił książki, muzykę, sztukę, wszystko piękne i wytworne, żołnierska sprawa była mu jeśli nie wstrętliwą to obcą.

Do łowów nawet, tej ulubionej Jagiellonów zabawy, której tak namiętnie oddawał się Jagiełło, Kaźmierz, nawet stary Zygmunt – August nie czuł pociągu żadnego.

Pięknej i pańskiej postawy, oblicza poważnego i zawczesną jakąś tęsknotą łagodną obleczonego, miał w sobie wdzięk arystokratyczny krwi starej panów. Jagiellońska dobroć łączyła się w nim ze Sforzów umysłową bystrością. Władzami ducha przechodził pewnie wszystkich swych poprzedników, lecz energii ich, siły, uporu mu brakło.

Matka zawczasu starała się go zmiękczyć, obezwładnić, aby nim rządzić – powiodło się to jej w zupełności...

Były to zresztą ostatki może lat najszcześniejszych życia Zygmunta Augusta, w których nic na nim nie ciążyło. Nie miał żadnych obowiązków... a matka starała się, aby wszelkie jego pragnienia młodzieńcze zaspokojone zostały...

Przysposabiał się do życia, nie przeczuwając w niem żadnej walki, lecz samo tylko rozszerzenie pragnień i swobodę używania...

Mógł marzyć, bawić się, słuchać lutnistów, uczyć się pieśni, wpatrywać we wdzięczne twarzyczki, które mu się wyprzedzając uśmiechały... dobierać przyjaciół, jeżeli oni Bonie nie zdawali się niebezpiecznymi, fantazyom chwilowym dogadzać... królowa pierwsza zawsze o nich wiedziała, aby z jej pomocą mogło się spełnić czego pożądał. Życie upływało jakby w jakimś półśnie rozkosznym. Trosk dotąd tak jak nie znał. O przyszłej swej żonie słyszał oddawna, pisywali do siebie, miała być piękną, lecz małżeństwo w początku zdawało się tak dalekiem, a do miłostek sposobność tak blizką.

Bona przez szpary patrzyła na zawiązywane i rozwiązujące się stosunki z pannami swojego dworu. Zawsze w porę znajdował się ktoś, co pomógł do uniknienia skandalu, do zapewnienia milczenia. Z kolei piękna Dżemma była kochanką młodego króla, najpiękniejsza z dziewcząt, to mała, najwykształceńsza z nich: umysłem, dowcipem, talentami przechodząca o wiele swe współtowarzyszki.

Królowa od dziecka widząc w niej nadzwyczajne zdolności, zajmowała się nią szczególnie. Miała mistrzów, nauczycielki, wychowywała się tak starannie, może świetniej niż królowne. Z tamtymi obchodzono się dosyć surowo, ta była pieszczoną.

Królowa, która umiała zużytkować wszystko, rachowała na nią jako na potężne narzędzie, które zawsze użytecznym być mogło... Nie miała może na myśli syna w początku, potem miłostki z piękną Dżemłą przyszły jej w porę i na rękę.

Despotycznej zdawać się mogło, że potrafi gdy zechce

pokierować niemi, zawiązać gdy będzie potrzeba, rozwiązać łatwo, gdy się staną zawadą. Myliła się w tem jednakże, nie dosyć znając charakter dziewczęcia, którego podstawę stanowiła duma i rozkołysana wyobraźnia. Była to Włoszka w całym znaczeniu tego wyrazu, z namiętnościami gwałtownymi i niepohamowanymi, z pojęciem o miłości idealnem. I piękność i umysł i talenta, w jej przekonaniu, powołać ją mogły choćby do tronu a przynajmniej na jego stopnie.

Płochych miłostek nie rozumiała Dżemma; miłość ze sztyletem w dłoni, z trucizną w czarze, walczącą i gotową na śmierć.

Wykarmiona poezją włoską, pieśniami włoskimi, które o miłości mówiły jako o najważniejszej sprężynie żywota – Dżemma wierzyła w nią i czekała na nią. Przyszła do niej w postaci ładnego, młodego, rozmarzonego królewicza.

August powoli skradał się do niej, jakby przeczuwał, że raz zawiązany stosunek nie da się łatwo rozwiązać... ale zbliżywszy, poznawszy ją lepiej, znalazł w niej kobietę swoich marzeń. Pierwsze jego miłostki były płochy i dziecinne ta odrazu przedstawiała się tragicznie i nęciła tem właśnie.

Bonie się zdawało, że gdy raz nie będzie potrzebną Dżemma, łatwo się jej pozbędzie jak innych, wydając za mąż; trzymała na to gotowego, rozmiłowanego, majątnego Dudycza, który był i dostatecznie ślepy i jak należy zakochany.

Dżemma patrzyła teraz na niego z pogardą, ale wszystko to zmienić się musiało, gdy stara królowa rozkazała.

Dosyć zawsze pieszczona Dżemma, teraz gdy miała serce syna odciągnąć od młodziuchnej królowej przyszej, i została na to przeznaczoną, z nadzwyczajną troskliwością pielęgnowaną była przez królowę.

Wbijają ją to w pychę i utwierdzało w tem przekonaniu, że wielkie i świetne losy czekały na nią w przyszłości.

Nic nie uchodziło oka Bony, która szpiegów swych miała wszędzie, wiedziała więc o każdym kroku syna, o każdym słowie Dżemmy. Dudycz miał być ze dworu starego króla przesadzony do młodego pana, aby i on donosił o nim. To rozporządzenie nim było dosyć niezręczne, lecz Bona nie rozumiała, aby się jej kto mógł sprzeciwić... zresztą Dżemma po królewiczu była dla Dudycza jeszcze aż nadto wielkim skarbem.

Mieszkanie młodego króla łączyło się zblizka korytarzami z izbami królowej i jej fraucymeru. Przejście do Dżemmy było łatwe i nie narażało na spotkanie z nikim obcym.

Zygmunt August żył tu, zawsze w oczekiwaniu jakiejś zmiany, bo mu wysłanie na Litwę obiecywano, jakby na obozowisku; ale do czasu musiał około siebie zgromadzić, co życie znośnem czyniło.

Lubił wszystko piękne, pokoje więc pełne były darów królowej i nabytków różnego rodzaju ciekawych i odznaczających się artystycznym wykończeniem. Zbroje, których nigdy prawie nie wdziewał, zachowane tu starannie, były arcydziełami kunsztu płatnerskiego połączonego ze złotniczym. Szyszaki, napierśniki złotem nasadzone tysiącami dukatów

opłacano dla niego.

Oprócz tego zbiory pierścieni, gemm, medalów, rzeźb małych, stanowiły już mały skarbiec, który młody król namiętnie coraz nowemi nabytkami powiększać się starał. Cokolwiek się tu znajdowało, musiało się czemś niepospolitem odznaczać. Od szyszaków rytych i złotonych, do mieczów, których rękojeści rzeźbione podziwiać trzeba było jako cacka, do kobierców i pokryć na konie, wszystko prawdziwie królewskim jaśniało przepychem.

Szkatuły pozamykane, szafki zamczyste, skrzynie rzeźbione z drzewa, na stołach zamykały te zbiory, któremi król bawić się lubił i chwalić niemi przed poufałemi. W sypialni i komnatce przy niej, stoły oprócz tego zarzucone były księgami, tak zachowanemi, aby nie każdy mógł je przepatrywać i dowiedzieć się co królewicz czytywał. Tu nie każdy miał dostęp. Księgi sprowadzane z zagranicy, we wspaniałych acz prostych oprawach ze skóry dziczej, gromadziły się przy sypialni. Treść ich byłaby zdziwiła ciekawego badacza, tak nadzwyczaj urozmaiconą była.

Począwszy od poezyi do rozpraw teologicznych, do historycznych badań, było tam wszystko, co w obecnej chwili świat zajmowało. Pisma surowo zakazane niemieckich reformatorów, rozprawy Melanchtonów, Rotterdamusa, Lutra obok namiętnych traktatów politycznych obrońców katolicyzmu. Z zakładek i znaków widać nawet było, że pierwsze z nich pilniej czytowane były.

Obok tego poeci włoscy, łacińscy, księgi o sztuce, opisy

krajów, historię państw, nawet rozprawy o czarnoksiężtwie znaleźć było można.

Zygmunt czytał wszystko lub przynajmniej przerzucał tak aby mu nic obcem nie było.

Na dworze mało czuć się dawał ten prąd idei polemicznych, które wiodły z sobą walkę o swobodę sumienia.

Właśnie w tych latach panowała jakaś cisza pozorna. Gamrat ustanowił inkwizycję. Spalono staruszkę Malcherową, wielu duchownym zagrożono... trwoga wywołała milczenie. Lecz pod tą ciszą łatwo się było domyśleć nurtujących potajemnie prądów, które tem były niebezpieczniejsze, im mniej się na oko pochwycić dawały.

Zygmunt Stary pobożnym był, nie będąc zbyt gorliwym; Bona modliła się i obchodziła z duchowieństwem na sposób włoski, posługując się niem i płacąc mu za to, ale wymagając posłuszeństwa. Z Rzymem wołała być dobrze, lecz nie szanowała go zbyt mocno – a gdy tam nie mogła przeprowadzić co chciała, łajała i zżymała się namiętnie...

Pod takiemi wpływy Zygmunt August się wychował, w rzeczach religijnych raczej obojętny i zimny, niż gorliwy.

Dopiero ruch reformatorski w Niemczech, który jak fala tłukł o granice Polski i wdzierał się tu pod najrozmaitszemi postaciami, obudził w młodym królu zajęcie tą polemiką, która go zabawiła.

Lismanin, któregośmy widzieli u królowej, przebiegły Włoch, siedzący na dwu stołkach a skrycie sprzyjający reformatorom,

przychodził, ostrożnie badając stan umysłu króla, oswajając go powoli z gotującym się wielkim przewrotem w kościele.

Lecz jakkolwiek młody i żywy, król tak był w sobie zamknięty i ostrożny, iż słuchając go, nigdy poznać nie dał po sobie, gdzie się jego sympatyje skłaniały.

Tak samo jak tą teologią namiętą, zajmował się chętnie muzyką August, słuchając jej z przyjemnością. Naostatek miał jeszcze upodobanie w pięknych koniach, których nie często dosiadał, ale lubił mieć osobliwe i już naówczas myślał o ich hodowli i stadach.

Takim jakim był naówczas młody pan, można go było sądzić wielce obiecującym na przyszłość. Nad wiek poważny, dbały o każdy krok, nie rażący żadnym wybrykiem, umysłowo wykształcony, mógł monarchę znakomitego zapowiadać.

Szlachta i panowie polscy możeby go innym mieć byli woleli, otwartzym, więcej rycerskiego ducha, mniej ostrożnym Włochem, lecz odmówić mu nie mogli nad wiek dojrzałości i taktu.

Mało się czem zajmował, ale to nie było jego winą – nie pociągano go do pracy. Królowa starała się go od niej odsuwać, stary Zygmunt też nie powoływał.

Były to, bądź co bądź, lata szczęśliwej młodości dla młodego króla... mógł marzyć, zabawiać się jak chciał, iść za swymi skłonnościami i upodobaniami, a jeśli ojciec mu skąpił i był dlań surowym, matka za to płaciła, starając się serce i zaufanie pozyskać.

Dnie upływały swobodnie. Często kilka ich uchodziło a August nie widział ojca, przychodził do niego na chwilę, niewiele słów zamieniał, i powracał do swoich lub królowej apartamentów.

Bona za to widywała syna nie raz ale po kilka na dzień razy, zapraszała go do siebie, starała się zabawiać... Zrana przejeżdżał się konno, polował rzadko, jadł z rodzicami lub matką, czytał, przeglądał swe kamienie i medale, przyjmował tych, których królowa dla towarzystwa jego dobierała. Wszyscy oni tem się odznaczali, że nigdy o państwowych sprawach, o polityce nie mówili z Augustem. Mało się też nią zajmował, lub przynajmniej nie dawał znać po sobie, że go to pociągało. Ale wzrok miał bystry, a szkołę milczenia przeszedł w dzieciństwie i umiał nosić w sobie największe brzemiona, nie zdradzając ich ciężaru.

Tego dnia królowa zastała go nad księgą, którą szybko złożywszy i zasunawszy między inne, na stole nagromadzone, wyszedł na jej spotkanie.

Bony czułość dla niego zawsze się namiętnie objawiała, jakby jego miała jednego. Dla córek, oprócz Izabelli, była surową i nieprzystępną, dla Augusta wylaną.

Oczyma, wszedłszy, przebiegła pokój, aby z najmniejszej jakiejś oznaki poznać usposobienie syna... Znalazła go smutnym, więc zapragnęła być wesołą... usiłowała wyciągnąć na słowo jakieś, lecz nic się dowiedzieć nie mogła. Poleciała mu na dworzanina Dudycza, chwalać go jako posłusznego sługę – August przyjął to obojętnie. W chwilę potem, poszeptawszy

jeszcze, biegła napowrót do swoich pokojów.

Zaledwie wyszła, czując się już swobodnym, August poprawił na sobie włoski strój czarny, i cichymi krokami przemknął się korytarzem do Dżemmy.

Siedziała znowu, tak jakżeśmy ją widzieli, w oknie małej komnatki swej, i lutnia leżała przy niej i szycie miała w rękę, choć nie zdawała się niem zajmować. Zwróciła głowę gdy drzwi się uchyliły, rumieńcem oblała się twarz, wstała spiesząc na spotkanie króla, który rzucił się obejmując ją i przyciskając do piersi.

W tym niemym uścisku upłynęła chwila... Patrzyli sobie w oczy... Dżemma i on, oboje byli smutni, ale wielkie szczęście czasem się tak czarno ubiera umyślnie... Szeptali z początku tak, że ledwie sami się słyszeć mogli.

Dżemma poszła z wolna wiodąc go za sobą ku krzesłu, a August obyczajem dawnym na podnóżku u kolan jej usiadł, patrząc w piękne oczy.

– Nie prawdaż? zdrowszą dziś jesteś? – szeptał król. – Uwierzyłaś że nie masz trwożyć się czego?

– A! – przerwało dziewczę, machinalnie ręką białą sięgając ku leżącej blisko lutni, a drugą poprawując pukle ciemnych włosów króla – a! nie ma miłości bez trwogi! Każdy skąpiec drży o skarby swoje.

– Bojaźńby szczęście zatrwała, gdyby tak zawsze dręczyć nas miała – odparł August. – Drogich chwil szkoda jej dawać na pastwę.

– A chwile te tak krótkie! – westchnęła Dżemma – obliczone! niestety.

Zmarszczył się król i ujął rękę jej w dłonie.

– Nie przewiduj gorszej przyszłości niż się ona obiecuje – zaczął mówić. – Niestety, królowie żenić się nawet, tak jak żyć muszą nie dla siebie ale dla poddanych, za to małżeństwa ich serca nie wiążą. Zmusić mnie mogą do podania ręki przed ołtarzem, ale serca mojego nikt nie weźmie gwałtem... to do ciebie należy.

– Na długo?

– Na zawsze! – zawołał August – dopóki twoje dla mnie bić będzie, piękna Dżemmo!

Zwolna kołysać się zaczęła piękna jej główka, a uśmiech smętny błąkał się po wargach

– Dzielić się będę musiała z nią – mówiła – a! nienawidzę tę kobietę!

– To dziecko – rzekł August – zabawiać ją będzie stary król, który podobno kocha bardzo synową... a mnie zasłoni matka, która wie co mnie szczęśliwym uczynić może, i żyje tylko dla mnie.

Gdy to mówił, wejrzenia ich się spotkały, Dżemma zacisnęła usta, Augustowi zdało się, że w oczach jej znalazł wyraz wątpliwości i niedowierzania.

– Dżemma! – zawołał – ty jej nie znasz, ty ją sądzisz jak drudzy. Ona co czyni wszystko dla mnie, i jeśli się naraża ludziom, ja tego jestem przyczyną. Od kolebki pamiętam ją

zawsze tak czułą, tak dla mnie wylaną. Siostry nawet zaniedbuje.

Włoszka nic nie odpowiadała, lecz wejrzenia jej nie okazywały aby przekonaną była.

– I ciebie – dodał król – winienem jej! Ona, tak surowa dla drugich, nam zostawuje swobodę, nami się opiekuje... ciebie kocha jak dziecię własne.

Podniósł głowę ku niej, jakby się domagał odpowiedzi. Dżemma jeszcze milczała, westchnęła tylko.

– Daj Boże – odezwała się po przestanku – aby się to nie zmieniło... Widziałam nieraz królowę przechodzącą z miłości do nienawiści tak skoro, tak gwałtownie.

– Nigdy bez przyczyny – począł król – oburza ją niewdzięczność, nie umie przebaczyć zdrady... a my na dworze, wśród ludzi, których łaskami obsypujemy, wystawieni jesteśmy ciągle na niespodziewane ciosy... Bona po królewsku wdzięczną być umie, lecz też i po królewsku karze.

Wzdrygnęła się ze strachu jakiegoś Dżemma.

– My we dwoje – ciągnął król dalej – my się przynajmniej od niej nie mamy czego obawiać, a wszystkośmy jej winni. Przynajmniej mnie bronić od przyszłej małżonki, z którą żyć nie będę zmuszony.

– A stary król? – spytała Dżemma.

– Ojciec nie zdoła nic, gdy królowa się oprze – mówił August.

– Zmusi go ustąpić i pozostać obojętnym.

Myślała długo Włoszka, której lice się rozjaśniło nieco.

– Mówią, że was z nią, z nią – poczęła, z przyciskiem

wymawiając wyraz ostatni – chcą wyprawić na Litwę... a ja!  
a mnie!

August głową potrząsnął.

– Ach nie – odparł – król jest temu przeciwny, matka mnie obronić potrafi. Litwa się oddawna domaga w. księcia, ale polscy senatorowie obawiają się rządów osobnych. Kraje połączone na pozór, ciągle się rozdwarzają... trzeba unikać wszystkiego co je rozdziela.

– Co za życie! – ręce podnosząc i zakrywając twarz niemi, przerwała Włoszka. – Drzę na myśl jej przybycia, tego wesela, tej niewoli! Widziałam jej portret u królowej, piękna jest i młodsza odemnie!

– Nie! – gwałtownie zawołał August – ani kraszy twojej ani duszy twojej nie ma, dziecko trwożliwe... Matka powiada że chora i że słabość jej wstręt obudzić musi.

Ale dlaczego ty mnie zmuszasz – dodał – karmić się tą rozmową okrutną? po co przewidywać? na co zawczasu goryczą się poić... Zaśpiewaj, marzmy!

I głowę złożył na jej kolanach.

– A, nie! to nie jest śpiewu godzina – odezwała się rzucając lutnię Włoszka – ja nie mogę śpiewać, gdy w duszy mam lży... ani nakazać sobie pieśni, gdy mi się serce ściska... nie, nie...

Król nie nalegał.

W milczeniu ujął jej rękę białą i całując palce po jednym lubował się tak, marzył, uśmiechał. Dżemma schyliła się nad skroń jego i położyła pocałunek na niej.

Tak byli zatopieni w sobie, że żadne z nich ani dosłyszało, ani postrzegło, jak cichutko podniosła się w drzwiach sypialni zasłona i twarz Bony z oczyma iskrzącymi ukazała.

Królowa patrzyła na nich długo z radością jakąś, ostrożnie opuściła kurtynę i znikła.

Dżemma podniosła się, August wstał, objął ją w pól i poszli razem stanąć w oknie, szepcząc niepochwycionymi wyrazy. Były to przysięgi miłosne.

Coś się zdawało czuwać nad nimi, w kurytarzach nie było najmniejszego ruchu, od komnat dalszych nie dochodził szelest żaden. Zapomnieli się tak długo, długo, i wchodząca dopiero karlica rozbudziła ich do życia.

Król natychmiast opuścił komnatę.

W nieszczęśliwą godzinę biedny Petrek Dudycz podniósł oczy i serce swe skłonił ku Włoszce. Zdawało mu się, że dla ubogiej sieroty, która nic oprócz łaski królowej nie miała, jego osoba i majątność były czemś bardzo pojętnem.

Karykaturalnej postaci, Dudycz którego wyszukane stroje czyniły brzydszym i śmieszniejszym jeszcze, na wiele rzeczy był ślepym... a im dłużej się tą spóźnioną miłością rozgrzewał, tem mocniejszego nabierał przekonania, że ona mu piękną Dżemmę zjednać musi.

Przystęp do niej, jak do innych panien fraucymeru, wprawdzie napotykał trudności i przeszkody, lecz Petrek wiele ich podarkami i groszem umiał zwyciężać.

Skąpy dopóki z soli fortunę budował, teraz rozkochany gotów był na największe ofiary.

Nad polskim fraucymerem królowej naówczas zwierchni miała dozór ochmistrzyni wdowa, nie młoda już jejmość Klara Zamechska. Winna ona była to miejsce jedynie temu, że za młodu obracając się w kołach mieszczan i kupców włoskich w Krakowie, których za Kaźmierza dosyć tu napłynęło, nauczyła się nieźle po włosku.

Otyła, ocieężała ale zdrowa i silna Zamechska, chodziła namarszczona, udając surową, starała się królowej przypodobać – ale ani Bona jej polubić, ani ona królowej pokochać się nie nauczyła.

Obawiała się i nienawidziła.

Lecz że obyczaj wymagał ciągłych zapewnień miłości, wierności, poświęcenia, ochmistrzyni miała je ciągle na ustach.

Dudycz, który znał dobrze dwór, nie znalazł sobie lepszego nad nią sprzymierzeńca. Wiedział, że Zamechska chciwą była – począł od obsypania ją podarkami.

Baba kuta doskonale wiedziała o co chodziło, śmiała się w duszy z poczwarnego eleganta... ale go nie odtrąciła. W zbliżeniu się do niego nie było niebezpieczeństwa, bo Dudycz miał pewne zachowanie u królowej.

Petrek znalazł wręście raz wieczorem zręczność rozmówienia się sam na sam ze starą ochmistrzynią.

– Jejmościuniu – rzekł – śmieję się ze mnie jeśli chcesz; powiesz może, że w starym piecu djabeł pali, ale com ja temu

winiem, że oczy mam i serce w piersi. Zakochałem się..

– We mnie? – odparła biorąc się w boki Zamechska.

Dudycz począł się śmiać i w rękę ją pocałował.

– W Dżemmie – szepnął.

Zamechska ręce załamała.

– A toś się wybrał! – rzekła – prawda że późno, ale za to smacznego ci się kaska zachciało. Na całym dworze piękniejszej nie masz.

– Pewnie – odparł z dumą Petrek – bo ja smak mam; ale ta piękność uboga jest, a ja, dzięki Bogu, węzełek sobie przysposobiłem.

– I dzięki soli – szepnęła Zamechska.

– Sól zdrowa – rzekł Dudycz. – Sądzę, że królowa pani moja najłaskawsza, nie będzie temu przeciwną.

– A dziewczyna? – spytała ochmistrzyni.

– Kto ją zgadnie? – począł Dudycz – raz patrzy tak jakby się gniewała, czasem jakby się litowała.

– No... a jakby się kochała? – przerwała Zamechska – he?

Dudycz głową potrząsnął.

– Nie – rzekł – ale toby może z czasem przyszło. Jabym ją złotem obsypał, jabym... – nie mógł dokończyć, ręce jego wyrażały tylko, że gotów był dla niej poświęcić wszystko.

Stara Zamechska miała czasem poruszenia dobrego serca. Żał się jej zrobiło tego człowieka śmiesznego, brzydkiego, który całe życie pracował na to, aby dla jednej dziewczyny, wyśmiewającej się z niego, patrzącej wysoko, wszystko a może nawet i życie

w końcu stracił. Zbliżyła się do siedzącego i położyła mu rękę na ramieniu, litościwie spoglądając na niego.

– Słuchaj Dudycz – rzekła – chyba oczów nie masz. Żyjesz na dworze, a nie widzisz tego co wszystkim wiadome... Dżemnę kocha młody król, ona szaleje za nim... nasza pani na to przez szpary patrzy. Gdzieś tobie się z nim mierzyć!

Petrek słuchał na wpół osłupiały.

– Przecie się z nią nie ożeni! – dodał pomilczawszy.

Ochmistrzyni się rozśmiała.

Dudycz dodał spuszczać oczy.

– To co? – albo się ludzie z wdowami nie żenią?

Upór był nie do przełamania, Petrek począł dalej ciągnąć rzecz swoją.

– No, tak, pracowałem życie całe, uciulałem grosza. Chodziłem w prostej opończy dziurawej długo, a teraz widzicie jak się stroję. Otóż na to pracowałem, żeby mieć wszystko jak drudzy. Bławaty, aksamity, łańcuchy, woźniki, kolebki i żonę taką, aby mi jej ludzie zazdrościli. Innej nie chcę jak ta, a tę muszę mieć, niechaj będzie co chce...

I pięścią uderzył się w kolano.

– Cóż z tobą mówić – odparła ochmistrzyni. – Ja ci nic nie pomogę, ona teraz na ciebie patrzeć nie zechce.

– A potem? – zapytał Dudycz podnosząc oczy.

Śmiała się Zamechska; patrząc na śmiesznie wystrojonego, brzydkiego, niezgrabnego człowieka, razem litość i śmiech ją porywał.

– Mam ja ci to tłumaczyć – rzekła – czegoś się powinien sam był domyśleć? Królowej ona teraz potrzebna, aby młodego króla od tej żony, którą dla niego przywieźć mają, odciągała. Młody pan i stara pani nasza obsypują Włoszkę podarkami, ona teraz pierwsze oko w głowie... cóż ty możesz przeciwko nim?

Dudycz wstał z krzesła i zbliżył się do ucha prawie Zamechskiej.

– Nie takim ja głupi – odparł zniżając głos i ręką osłaniając usta. – Królowa i młody pan będą ją pieścili, bo im potrzebna, ale stary król także też coś znaczy; ks. Samuel, hetman, podskarbi, także ręce mają... Oni pewnie się zechcą pozbyć Włoszki... he?

– A ty myślisz, że oni wszyscy, ile ich jest, naszej starej Włoszce i młodej podołają? – odparła ochmistrzyni.

– Młoda królowa także też coś będzie znaczyła – rzekł Dudycz.

– Więc żonę chcesz wziąć na upartego? gwałtem? a co ci potem będzie z niej? – spytała Zamechska. – Dasz jej radę?

Gburowata, głupowata twarz Dudycza przybrała na chwilę jakiś wyraz dziki i dziwny, błysnęły oczy – i Zamechska zrozumiała, że w tym człowieku, który się układał na dworaka, był drugi ukryty... z wolą żelazną i nielitościwym uporem.

Petrek milcząco spuścił oczy.

– To moja sprawa – rzekł. – Mówiłem jejmości: chcę mieć piękną i pokaźną żonę... jak ją dostanę, to ją sobie ułożę.

– Znalazłbyś przecie łatwiej drugą – przemówiła Zamechska.

– Kiedy mi ta w oko wpadła – rzekł Dudycz. – Ja wiem, że

niełatwo ją przyjdzie uchodzić, alem na wszystko gotów... na wszystko...

To mówiąc, z kieszeni płaszczyka Petrek zaczął coś dobywać starannie obwiniętego w jedwabną chusteczkę. Ochmistrzyni przypatrywała się tym przygotowaniom z ciekawością.

Powolnie, systematycznie Dudycz rozwinął węzełek i dobył naprzód piękny pierścień z okiem, który, milcząc, sam włożył na palec ochmistrzyni. Nie opierała się temu i podziękowała mu skinieniem głowy i uśmiechem. Stara lubiła klejnoty, które wówczas zresztą wszyscy, mężczyźni i kobiety, nosili i cenili daleko więcej niż dzisiaj.

W chustce było jeszcze jedno pudełko, które Dudycz otworzył niemal z poszanowaniem. W niem, na dnie atlasowem, leżała spinka, w złoto oprawny rubin duży, który sam przez się był cenny, ale wartość kamienia nikła przy cudnej oprawie. Poznać było łatwo w robocie tej rękę włoskiego mistrza, który z miłością i zapałem rzeźbił to arcydzieło. Kamień obejmowały dwie figury kobiet, które się go dźwigać zdawały. Ciała ich, lekkie draperye, wieńce kwiatów oplatające dokoła ramę, były z różnobarwnego złota, srebra i emalij.

Zamechska patrzyła zdumiona, a Dudyczą twarz uśmiechała się tryumfem.

– Myślicie – rzekł – że tę fraszkę łatwo za psie pieniądze kupić było? Ho! bo! wioseczkęby może dostał za to, co mnie ona kosztowała. Królowaby się nie powstydziała jej nosić.

To mówiąc, zwolna zamknął pudełko i wręczył je

ochmistrzyni.

– Znajdźcie sposób oddać to odemnie pięknej Dzemmie  
– rzekł. – Ja o nic w zamian nie proszę, nic a nic, nawet  
o spojrzenie. Chcę żeby przyjęła i nosiła...

– A jak nie przyjmie? – spytała Zamechska.

Rozśmiał się Dudycz.

– Nie byłaby Włoszką – rzekł. – Naprzód jej pokażecie, niech  
się przypatrzy, potem...

Dudycz wydał się ochmistrzyni nie tak głupim jak wprzód.

– Nawet Bóg zapłać nie żądam – dodał. – Nic, tylko żeby  
czasem to cacko włożyła. Są klejnoty, które mają czarodziejską  
siłę...

Stara, która święcie wierzyła w czary, pudełeczko bojaźliwie  
postawiła na stole.

Petrek się uśmiechnął.

– Będę wam bardzo wdzięczny, gdy jej to oddacie i powiecie  
tylko że odemnie, który jestem i będę jej sługą i niewolnikiem.

Ochmistrzyni milczała, nie miała już co mówić z upartym,  
który wszystko przewidywał a niczem zrażać się nie dawał.

Dudycz też, jakby spełnił to po co się tu wcisnął, pożegnał  
zaraz Zamechską. Miał już na myśli co innego. Otworzyły mu  
się oczy. Zamiast protekcji starej królowej, potrzebniejszą mu  
była daleko pomoc tych ludzi, którzy przy starym królu stali, bo  
tym Włoszka miała się stać zawadą.

Dudycz miał z niektórymi stosunki a szczególnie z Bonerem,  
który w sprawach żup solnych jako doświadczonego radził się

nieraz. Oprócz tego łączył ich z sobą stosunek inny, wątły wprzód, lecz teraz dla Petrika nabierający wagi.

W milczeniu, niepostrzeżenie prawie reforma Lutera szerzyła się w Polsce. W tej dobie, zwłaszcza na oddalonych krańcach, miała ona charakter wcale różny od tego, jaki przybrała później, gdy jawnie wybuchnęła.

W historyi nowych religijnych idei za mało zwracają uwagę na ten peryod, który pierwsze symptomata prądu reformatorskiego dzieli od stanowczego zerwania z Rzymem.

Można śmiało powiedzieć, że w początkach trzy czwarte tych, którzy chwyтали chciwie idee nowe, jak je u nas zwano, nowinki, nie przypuszczało nigdy, ażeby one do zupełnego rozbratu z papieżstwem i katolicyzmem doprowadzić mogły.

Bardzo wielu duchownych, którym ciężko narzucanie corteggianów z Rzymu do beneficjów, rząd po za granicami, nadużycia różne – bardzo wielu marzycieli, którym religia zdawała się wymagającą oczyszczenia, uproszczenia, uczynienie popularną językiem i t. p., bardzo wielu humanizmem doprowadzonych do niewiary i theizmu – nakoniec ogromny lik ludzi, co nie rozbierając nowości, na wędkę ich pochwycić się dają, cisnęło się do nowatorów. Nikt jednakże rozprawiając o tem, dając schronienie apostołom reformy, z kościołem nie zrywał. Wielu ograniczyć się chciało tem co nazywano puryfikacją. Żądano wiele, lecz ograniczyliby się gardlujący i mniejszemi ustępstwami.

Gamrat, który spaleniem Malcherowej i ustanowieniem

inkwizycyści zatrwożyli nowatorów, na kilka lat wstrzymał jawne ukazanie się protestantyzmu... Spiskowano po cichu, wielu na dwu stołkach siedziało – Boner, Decyusz sprawiali urzęda syndyków przy kościołach katolickich, a w domach swych gospodę dawali przybywającym z Niemiec apostołom.

Znaczna część duchowieństwa młodszego, zwawszego umysłem a niemającego nic lub niewiele do stracenia, biegła słuchać predykantów i żwawo roztrząsała zasady przez nich głoszone.

W poufalitych kółkach, szczególnie niemieckiego pochodzenia mieszczan krakowskich, było modą rozprawić o bałwochwalczej czci obrazów, o spowiedzi, o obrzędach, o bezżeństwie księży, i t. p.

Prąd ducha czasu jest jak owe burze wielkie, które obalają gmachy, ale też kurzu tumany podnoszą. Tak samo i wielkie umysły porywają idee, i najpłytsze zawracają. Niejeden idzie wprost za drugimi przez naśladownictwo, tak samo jak sprawia czapkę i pas nowym krojem.

Otóż Dudycz, który nagle został elegantem i nosił włoskie suknie, chcąc się do przyzwoitych ludzi zbliżyć, począł szukać nowatorów i z nimi zawiązywać stosunki.

Ich propaganda czyniła przystępnymi.

Człowiek majątny, który w swoich dobrach na wsi mógł dać schronienie jakiemu zbiegowi, pobudować zbór, postarać się o druk księgi – był pożądaną zdobyczą. Dudycz miał wszystkie te warunki, a w dodatku zdawał się dosyć ograniczonym, tak że

nim zawładnąć było można.

Przez któregoś z dworaków, bo tych wielu chadzało na reformatorskie koncyliabua, Dudycz się wcisnął pomiędzy spiskujących. W istocie nie można ich było naówczas nazwać inaczej. Kryli się jeszcze, przysposabiając umysły starego króla, ale nadewszystko Zygmunta Augusta.

Lismanin, którego suknia mnisza długo od podejrzeń broniła, mający wstęp do starej królowej, przez nią się wwiódł do młodego pana, umiał mu podobać, stał się potrzebnym, i przygotowywał go do uznania wolności sumienia, jako dopełniającej swobody prawami poręczone narodowi.

Dudyczowi wiadomem było, że w domu Bonera, przy Floryańskiej ulicy, za wielkiem pierwszym podwórcem, na tyłach, w miejscu mniej dostępnem i widocznem, w izbie bardzo przestronnej zbierali się nowej wierze pozyskani uczniowie. Odbываły się tu ciche modlitwy, narady i rozprawy, tu zwykle przybywający z Niemiec stawali gospodą, albo się o nią dowiadywali.

U Bonera, który na pozór katolikiem był i miał nawet więźność u ks. Samuela, a unikał rozmów drażliwych – ogniskowały się wszystkie zabiegi protestantów, przygotowujących do lepszej, jak sobie obiecywali, przyszłości.

Kamienicę tę znał Dudycz, ale pewna obawa wstrzymywała go dotąd od uczęszczania na nowe nabożeństwa, a w rozprawach chyba jako słuchacz mógł uczestniczyć – i na prawdę niewiele go one obchodziły. Człek praktyczny myślał tylko o tem, jak

z każdej sposobności dla siebie skorzystać.

Tym razem nie do zboru, ale do pana Seweryna Bonera zbliżyć się mu było potrzeba. Obrachował, że jako sprzymierzeniec mógł służyć tym, co popierali sprawę młodej królowej. Rozumował po gburowsku, zprosta, i szedł prosto też do celu.

Zmierzchało już gdy znalazł się przy ogromnych wrotach kamienicy, w której kancelarye czynnego Bonera, jego dwór, rodzina, domownicy i skarbiec się mieściły. Ruch tu zawsze był wielki, bo Boner miał niezmiernie rozgałęzione stosunki, interesa ogromne i rozliczne, a zajmował stanowisko wyjątkowe. Szlachta go miała za swego, mieszczenie widzieli w nim też brata i wodza, bo z ich stanu wyrosnął. Był to zarazem pan, majątkiem magnatom równy, urzędnik skarbowy mający króla zaufanie, kupiec i handlarz, a jak na owe czasy i bankier, bo przez niego najpewniej przesyłały się pieniądze w najdalsze kraje.

Mało który cudzoziemiec zawitał do Krakowa, nie mając do niego listu polecającego, karty na odebranie pieniędzy.

Wszystkim wiadomem było, że ta potęga stała po stronie króla Zygmunta Starego, ks. Samuela i hetmana.

Boner nie wojował jawnie z Boną, czynił jej nawet małe przysługi, lecz tak się ujął, jak ona chciała, nie dawał.

Dudycz potrzebował się z nim rozmówić. Wchodził właśnie we wrota, gdy młodego znajomego sobie mieszczanina Krieglera spotkał, który spojrzawszy nań tylko, ujął pod rękę i z sobą poprowadził, nie pytając nawet po co i do kogo idzie.

Dudyczowi zdawało się, że i on pewnie Bonera szuka. Dopiero w połowie podwórza, gdy ciągle jeszcze szli dalej, dowiedział się od Krieglera, który mu to szepnął na ucho, iż właśnie wieczorne miało się odbywać nabożeństwo. Ponieważ na niem spodziewał się zobaczyć Bonera, a przytomnością swą polecić mu i zyskać ufność jego, Dudycz się dał poprowadzić.

Izba przeznaczona na ten zбір tymczasowy, znajdowała się w samej głębi drugiego podwórza na pierwszym piętrze, na które po ciemnych wschodach drapać się było potrzeba. Szło z nimi razem osób kilka. Nie sprawdzał nikt kto wchodził i czy miał tu znajdować się prawo, bo się zdrady nie obawiano. Czujność wielka, uśpiona kilkoletnim pozornym spokojem, ustała.

Weszli do przyciemnionej sali, którą teraz dopiero kilku świecami zaczęto oświetlać. W głębi stał okryty kobiercem i białym obrusem stół, a na nim krucyfiks srebrny. Żadnego zresztą obrazu, godła, sprzętu zwykłego miejscom modlitwy, widać nie było. Oprawna w skórę biblia leżała pod krzyżem.

W sali było już osób kilkanaście, które oczekiwać się zdawały – jedne siedząc na ustawionych we dwa rzędy ławach bez poręczy, drugie po cichu rozmawiając gromadkami. Twarzy przytomnych trudno było z początku rozpoznać w mroku, ale więcej niż połowa przytomnych tu miała na sobie odróżniające ich od świeckich suknie duchownego kroju. Barwa czarna dla mężczyzn i kobiet była w tej epoce wielce używaną i modną, ona więc sama nie stanowiła różnicy... ale płaszcze, birety, pasy, sutanny a nawet tonsury wskazywały duchowieństwo.

W znaczniejszej części byli to ludzie młodzi a buta i gorączka patrzyła im z twarzy. Oglądali się niespokojnie zdradzając trochę obawy, nadrabiając zuchwałą miną.

Dudycz, którego Krieger u drzwi opuścił, został sam, a wszedłszy niemal mimowoli i zbytniej nie mając ciekawości, usiadł sobie na ławie.

Zwolna pusta izba napełniać się zaczęła, a rozproszeni goście zajmować miejsca na ławach. Petrek postrzegł zdala i Seweryna Bonera i znanego wszystkim Justa Decyusza, i kilku innych przewodców.

Po upływie ćwierć godziny, w sposób bardzo prosty, rozpoczęło się owo zapowiedziane nabożeństwo. Zanucono psalmy po niemiecku, niebardzo głośno podnosząc. Czuć było, że się nie chciano zdradzić. Śpiewy szły nie dosyć swornie i niepotrwałe ustały. Naówczas mężczyzna czarno ubrany, w sukni długiej kroju duchownych przypominającego, wystąpił za stół przed krucyfiks i mówić rozpoczął. Głos jego w początku był cichy, twarz blada, oczy nieśmiało biegały po słuchaczach, ale wnet rozgrzał się i własnymi słowami i okazywanym mu jawnie współczuciem. Oczy wszystkich chciwie były zwrócone ku niemu, niektórzy na palcach z dalszych ław do bliższych się przesuwali, aby lepiej słyszeć mogli. Kaznodzieja mówił po niemiecku, Dudyczowi język ten nie był całkiem obcym, lecz rzecz cała dla niego zbyt ponętą nie wydawała się – pozostał więc na swej ławie zdala, i z mowy ledwie kilka frazesów mógł pochwycić.

Predykant przybyły z Witenbergi, gwałtownie występował przeciwko despotyzmowi Rzymu – powtarzał wszystko, co przeciw papieżtwu naówczas głoszone, starając się je oczernić i wstrętnem uczynić. Mówił o kościele Chrystusowym, o idealnym grodzie Bożym, o przyszłej szczęśliwości świata odrodzonego i oczyszczonego z bałwochwalstwa. W końcu jakiś szał proroczy nim owładnął, i to co mówił stało się prawie niezrozumiałem. Apokalypsis, wyciągi z ksiąg proroczych, zastosowane do czasów nowych, fantastyczne obrazy – ognistemi rysy piętnowały się w umysłach słuchaczy.

Wrażenie było ogromne, a gdy skończywszy uznojonny apostoł zamilkł... cisza zapanowała grobowa i, choć inni mówcy zapowiedzeni byli, nikt się odezwać nie śmiał.

Po długich szeptach i naradach zanucono pieśń dziękczynną także po niemiecku i na tem skończył się ów obrzęd wieczorny.

Dudycz postrzegł jak potem kołem otoczono bladego predykanta, który jeszcze będąc pod wpływem natchnienia, jakie mu kazanie jego dyktowało, ocierał czoło i ust prawie otworzyć nie mógł.

Niektórzy z duchownych zbliżyli się ku niemu. W sali poskupiały się gromadki. Wszyscy byli pod naciskiem tych wyrazów natchnionych, widocznie napełniały ich one jak najlepszymi dla przyszłości tego kościoła nadziejami.

Petrek patrzył, słuchał, lecz naprawdę pragnął, aby się to wszystko jak najprędzej skończyło i żeby wychodzącego ztąd gospodarza przyłapał. Ale ten był tak obłączony, że Dudycz

w końcu postanowił się wymknąć i czekać na niego w dziedzińcu.

Tu już ciemno się tak zrobiło, że po chwili przeniósł się do bramy, i długo czekać musiał, nim nareszcie spostrzegł idącego Bonera, którego pośpieszył pozdrowić.

Roztargniony podskarbi niebardzo nań zważał i byłby pomiął, gdyby Petrek nie szepnął mu, iż chce z nim mówić na osobności.

Boner, w sile wieku, pańskiego oblicza, postawy pięknej mąż, zmierzył go od stóp do głów oczyma, jakby pytał: co on, biedny człeczyna, z nim *privatim* mieć może do czynienia? Ale snadź przypomniał sobie, iż sam go kilkakrotnie używał do porady w sprawach żupy, i kazał mu iść za sobą do mieszkania.

Wewnątrz kamienica tego bogacza i możnego dygnitarza nie ustępowała najwspanialszym domom książęcym.

Zbogaceni mieszczenie lubili okazywać, że razem z fortuną nabyli upodobania pańskie, więc przepych był wszędzie. A że stosunki dozwalały im z zagranicy, z krajów przemysłu i sztuki z łatwością i szybko sprowadzać wszystko – nowości kosztowne zaledwie się gdzie zjawiły, wnet się tu znaleźć musiały.

Przeszedłszy szereg izb tak strojnych, że Dudyczowi jak obraz zaczarowanego jakiegoś pałacu mignęły przed oczyma – Boner wprowadził go do małej komnatki, która do poprzedzających ją izb wspaniałych wcale nie była podobną.

Tu oprócz stołu, kilku krzeseł i ław dokoła, a rzeźbionej szafy, nie było nic. Włoska lampka olejna czekała na gospodarza stojąc na stoliku, zarzuconym kartami papierów, listów i księgami

wązkami a długimi, zawierającymi rachunki.

Panu Bonerowi jawnie było pilno, wskazał siedzenie Dudyczowi, i z obojętnością wielkiego pana, który rad zbyć się natrętnego klienta, rzekł do niego.

– No, Dudycz, cóż ty mi przynosisz ze dworu? Masz co do mnie?

Petrkowi jakoś wytłómaczyć się na razie było ciężko; niewymówny, szukał po głowie od czegoby miał począć.

– Ja do W. Miłości w mojej własnej sprawie przychodzę – odezwał się nieśmiało.

– Mówże, proszę.

– Chciałbym – dodał Dudycz niezgrabnie – chciałbym się żenić...

– A któż ci broni? – śmiejąc się odparł Boner. – Jesteś pełnoletni oddawna.

Zczerwienił się Dudycz.

– Ale bo – rzekł – idzie tu o pannę z fraucymeru królowej JMci.

– I chcesz, aby ci król JMć był swatem – począł Boner wesoło. – Ale, Dudyczu mój, to ci rychlej zaszkodzi niż pomoże. Stara pani nasza dąsa się na nas.

– Ja to wiem – począł Petrek widocznie skłopotany tem, jak przystąpić do sprawy – ale właśnie się tak rzeczy składają, że moje ożenie królowi staremu będzie bardzo na rękę, więc myślałem że mi do niego pomoże.

– Królowi? twoje ożenie? – rozśmiał się Boner, z góry

spoglądając na biednego zafrasowanego petenta – nie rozumiem, mów jasno.

Dudycz zniżył głos i począł nieśmiało.

– Mówią, że młody król na tę samą pannę rzucił okiem i że królowa, aby go od przyszłej małżonki odstręczyć, patrzy na to przez szpary... hm!...

Boner zrozumiał, ale się zmarszczył.

– Mówisz o pięknej Dżemie? – zapytał.

Głową potwierdził Dudycz, a uśmiech politowania prześliznął się po ustach pana podskarbiego.

– Żal mi cię, mój Dudycz – rzekł – ale na miłość, jak na śmierć, lekarstwa nie masz!

Poruszył ramionami i zamilkł.

– Czegóż tedy właściwie chcesz? – odezwał się po dość długiej przerwie, w czasie której Dudycz się jaśniej nie zebrał tłumaczyć. – Król nie ma mocy nad fraucymerem żony; jeżeli Bona sobie tego nie życzy, Włoszka owa także pewnie młodego króla będzie wołała, niż starego dworzanina... w czymże my ci pomódz możemy?

Petrek podniósł oczy.

– A jeśli staremu panu dokuczy to, że młoda królowa przybywszy, źle będzie przyjęta... bo młody król gdy się rozkocha... nie zechce do niej przystać? Juścibyście się Włoszki pozbyć radzi zawczasu, a ja ją gotów jestem wziąć.

Boner słuchał, ale obojętnie i dumnie.

– Wiesz Dudycz – rzekł w końcu – rachunek twój nie głupi,

to prawda, ale przeciwko nam, to jest przeciwko najjaśniejszemu panu naszemu, może kto chce używać broni intryg nikczemnych, podstępów i zdrady, on nigdy, nawet w obronie najświętszych praw, tej podłej broni nie użyje. Stara królowa niech czyni co chce, spodziewamy się ją zwyciężyć w sposób bardzo prosty i jasny, młode małżeństwo usuwając z pod jej wpływu. Naostatek, mój Dudycz, łowisz ryby przed niewodem, wszystko to tylko projekty i domysły.

Przykro było taką obojętną odpowiedzią zbytemu, z niczem odchodzić Dudyczowi... siedział jeszcze zadumany. Boner tymczasem z innego tonu, poufalej rozpoczął mówić do niego.

– Żal mi cię, mój stary – rzekł – bo wcale już młodym nie jesteś, że się ważysz na prawdziwe szaleństwo... Po co ci to? Padniesz w każdym razie ofiarą...

– A kiedy komu to miło! – odparł Dudycz. – Dziewczyna mi się haniebnie podobała... chcę mieć taką piękna, żeby mi jej wszyscy zazdrościli. Na to całe życie pracowałem, abym miał za co szaleć na starość!

Rozśmiał się Boner.

– Znałem takiego – odparł – co widząc człowieka zarzucającego sobie pętlę na szyję, aby się powiesić, stał, patrzył i ani się ruszył, a powiadał potem: wolna wola jego! kiedy mu życie obmierzło... Jabym ci też to powinien rzec.

Skłonił się Dudycz nic niezmiészany.

– Wątpię, abyś Włoszkę miał za sobą, jeżeli młodemu panu w oko wpadła – odezwał się podskarbi.

– Teraz pewnie patrzeć na mnie nie będzie, ale poczekawszy – rzekł chłodno Dudycz i na chwilę zamilkł, kończąc potem:

– Poczekawszy, panie podskarbi... jam nie prorok, ale powiem panu, że i król stary i wszyscy wy będziecie radzi, że ja ją sobie zechcę wziąć. Otóż ja zawczasu się polecam...

To mówiąc skłonił się.

Boner, który go znał i nigdy o nim wielkiego nie miał wyobrażenia, teraz tak był zdumiony i miłością tą i cierpliwą jej rachubą i przewidywaniami Dudycza, że stał moment nie wiedząc co powiedzieć.

– Zwierzyłeś mi się – rzekł w końcu – ja ci za to nie mogę inaczej zawdzięczyć jak dobrą radą: nie rozplątuj zawczasu niepotrzebnie, co w końcu sam może później będziesz musiał porzucić i zaniechać.

Energicznie podniósł głowę Petrek.

– Nigdy w świecie – odparł stanowczo – ja co sobie raz postanowię, panie podskarbi, to muszę dokonać. Mało nie trzydzieści lat o chlebie i wodzie pracowałem, żeby się dorobić grosza... no, mogę lat kilka starać się o taką żonę, jaką sobie mieć zapragnąłem.

Skłonił się mówiąc to i wziął za beret włoski, który był na krześle położył.

Boner patrzył za odchodzącym w milczeniu. Poruszył ramionami i tak się rozstali.

W znanej nam pięknej komnatce z oknem na szerokie błonia za Wisłą, siedziała następnego ranku piękna Dżemma,

ale dnia tego wyglądała całkiem inaczej. Twarz miała świeżą, rozweseloną, odmłodzoną, uśmiechającą się, dumną... promieniała zwycięstwem. W rękę trzymała robotkę, jedwabną chustkę, którą wyszywała we wzory, ale myślała o czym innym, a wzrok jej niekiedy zwracał się na komnatę, w której widać było rzuconą na poręcz krzesła sztukę atlasu różowego, cudnej barwy, i wiązkę złotych forbotów, przeznaczonych do jej przyozdobienia. Tuż na stoliku leżał przepiękny różaniec z koralów oprawnych misternie w złoto. Były to, jak się łatwo domyślać można, dwa świeżo otrzymane podarki. Ale nie one może tę wesołość na lica wywołały, coś więcej miała w duszy, gdy tak zwycięzko na świat patrzyła. Kiedy niekiedy srebrnym głosem, ale zcicha próbowała włoską jakąś nucić piosenkę, lecz myśli jej przerywały.

Wtem zaszeleściało od strony drzwi, które do sypialni prowadziły, i weszła młoda, piękna, ze śmiałem czarnych oczu wejrzeniem, dziewczyna. Rysy twarzy świadczyły, że Włoszką była i choć młoda, już postradała przedwcześnie tę dziewiczo-dziecięcą świeżość i urok, jakim Dżemma czarowała. Namiętny wyraz tłómaczył prędkie rozstanie się z młodością. Pomimo to była i czuła się jeszcze bardzo piękną, a wdzięk stracony zastąpiła pewnością siebie i jakaś zuchwałość, która też ma wielką siłę. Szła na palcach, jakby Dżemmę podchwycić na czemś chciała...

Typ to był zupełnie odmienny, a najpospolitszy pod włoskiem niebem: bujny włos kruczej czarności, nieco kędzierzawy, oczy

jak węgle, brwi bujne, usta koralowe, pełne, owal twarzy wdzięczny, formy bogate i już rozwinięte nieco zanadto może. Biała, bez rumieńców prawie, w twarzyczce miała wypisaną nieustraszoną odwagę, energię i jakby urąganie się światu. Usta i oczy piętnowało usposobienie namiętne...

Po chodzie musiała ją Dżemma odgadnąć, rzuciła robotę, podniosła oczy, czekała...

– Pracowita pani z ciebie – zawołała szydersko przybywająca, której oczy padły na różowy atłas i koralową koronkę i usta się uśmiechnęły. – Trzebaż było choć te dary pochować.

– Chcę się nimi nacieszyć – odparta Dżemma – a kryć się z nimi nie myślę.

– Szczególniej przedemną – szydersko i ze śmiechem zawołała czarnooka, która już w białych paluszkach trzymała atłas a wejrzeniem pożerała złote forboty. – Szczególniej przedemną – powtórzyła – która to wszystko wiem na palcach, bo... bom i ja to przeżyła, odplakała...

Dżemmy brwi się ściągnęły.

– Bianco moja – odezwała się dumnie – nie wiem czy to coś ty przeżyła czeka mnie, ale mi się zdaje, że między tobą a mną jest wielka różnica.

Blade lice Bianki zarumieniło się nieco.

– Sądzisz? – podchwyciła – a! zobaczymy wkrótce, moja droga! Na co ci mam krótkie dni szczęścia zatruwać...

Wypuściła z rąk atłas.

– I ja odbierałam takie podarki, atłas tylko był innej barwy,

a różaniec z kamieni...

Rozśmiała się szydersko, lice Dżemmy powlokło się chmurą.

– Zazdrościsz mi! – szepnęła.

– Nie, już teraz, nie – rzekła Bianka – bo wiem, że te rozkosze nie mogą trwać i że je potem łzami zapłacić potrzeba, a raz płakałam już długo, długo... i ze łzami poszła miłość.

Ręką w powietrzu pokazała, jakby ptaszek uleciał.

– On był naówczas młodszy – poczęła po małym przestanku – a taki namiętny!... Zaprzysięgał kochać mnie całe, całe życie... a ja wierzyła w to święcie... Tymczasem Carita dorastała i wypiękniała, a na koniec i tyś najpiękniejsza z nas, zakwitła... Ja byłam zawsze pewną, że ten los cię spotka...

Dżemma słuchając w początku cierpliwie, w końcu rzuciła robotę z ruchem namiętym.

– Nie mów mi tego – zawołała. – On wie, że z moim sercem tak jak z waszemi igrać nie można... Ono raz tylko w życiu może kochać...

– Dżemmo – odezwała się spokojnie Bianka – moje też kochało raz, a teraz się bawi.

– Mojeby pękło, gdybym miała być zdradzoną – przerwała Dżemma.

Bianka spojrzała na nią z politowaniem, zbliżyła się do niej z powagą starszej, objęła w pół i lekki pocałunek złożyła na jej czole.

– Siadaj – rzekła – uspokój się; ja jestem niepoczciwa, że cię poję tą goryczą, lecz tak mi żal biednej Dżemmy zawczasu.

Włoszka siadła znowu w oknie jak wprzód i sparta się na rękę zadumana. Tymczasem Bianka kręciła się po komnatce, zaglądając wszędzie, przypatrując się wszystkiemu. Na chwilę rozmowa została przerwana.

Bianka Giorgi miała już rozpocząć ją na nowo, gdy ciężki chód dał się słyszeć u drzwi od kurytarza, uchyliły się one ostrożnie i okrągła, rumiana, rozlana twarz ochmistrzyni Zamechskiej w nich się ukazała.

Dżemma jako Włoszka nie należała do jej wydziału, mało widywała i niebardzo lubiła... Domyślała się więc jakiegoś szczególnego powodu tych odwiedzin, które przyjęła dość zimno.

Ochmistrzyni mówiła wprawnie po włosku.

– Tak dawno, dawno nie widziałam pięknej Dżemmy – rzekła wchodząc – iż mijając jej drzwi nie mogłam się oprzeć pokusie... Pozwolisz się pozdrowić?

Ulubienica młodego króla i starej królowej była teraz tak z pochlebstwy oswojoną i do dworowania sobie przywykłą, że ją to nic nie zdziwiło. Przyjęła wymuszonym uśmiechem ochmistrzynię.

Bianka, której brwi się ściągnęły, bo musiała mieć jakiś wstręt szczególny do Polki, zakręciła się tylko i wyszła.

Zamechska na pierwszym krześle najbliższem okna usiadła.

– Ślicznie mi wyglądasz dziś, moja królowo – odezwała się do Dżemmy – choć ty zawsze jesteś tak piękna!

– A wy, tak łaskawi! – szepnęła kwaśno Włoszka.

Nie wiodło się z rozmową. Ochmistrzyni wspomniała o kilku dnia tego wypadkach, o tem co królowa rozkazała, co na jutro się gotowało, o pannach wyznaczonych na służbę... Dżemma milczała główką potrząsając.

Tymczasem zwolna, jakby od niechcenia Zamechska poczęła z bocznej dobywać kieszeni pudełeczko, które uwagę Dżemmy zwróciło na siebie.

– Ty co piękną będąc lubisz i umiesz cenić wszystko co piękne – poczęła zwolna ochmistrzyni – powinnaś zobaczyć to cacko... Właściwie zaszłam do ciebie tylko, aby ci je pokazać. Co też ty powiesz na nie?

I zwolna otworzywszy pudełko, Zamechska na kolanach Dżemmy położyła ową spinkę z rubinem, którą Dudycz jej wręczył.

Włoszka nic się pewnie tak nadzwyczaj pięknego nie spodziewała, zwróciła oczy obojętnie, lecz po chwili uchwyciła pudełeczko i wpatrzyła się zachwycona w maleńkie arcydzieło. Klejnot ten na chwilę ją rozchmurzył.

– Prześliczna! – zawołała, kładnąc na kolanach pudełko.

– A! ja się na tem nie znam tak jak wy – odparła ochmistrzyni – ale i mnie się zdawało, że to klejnot godzien królowej.

– I zapewne należy też do najjaśniejszej pani – przerwała Dżemma.

Zamechska głową potrząsnęła.

– A czyjeż to jest? – spytała ciekawie.

Uśmiech jakiś niewytłómaczony dla Włoszki, przebiegł po

szerokich wargach Zamechskiej.

– To moja tajemnica – rzekła – ale że u mnie nie ma gdzie nawet schować tak drogich rzeczy, tymczasem zostawię spinkę u ciebie. Będiesz mogła przypatrzeć się jej i nacieszyć.

Wejrzenia ich spotkały się, podziwienie odmalowało na twarzyczce Dzemmy. – Milczała.

– Co to ma znaczyć? – zapytała.

Namyślała się Zamechska z odpowiedzią dość długo.

– Hm – rzekła – toby mogło znaczyć, że ktoś się w tobie kocha gorąco, szalenie i radby bóstwo swoje przystroił, ale się lęka przystąpić do niego.

Dzemma natychmiast pochwyciła pudełko, zamknęła je i milcząc położyła na rękach ochmistrzyni.

– Ja podarków nie przyjmuję – rzekła sucho.

– Nawet gdy za nie dziękować nie trzeba? – dodała uśmiechając się Zamechska – możesz nawet nie pytać kto ci to przesyła.

– Nie jestem ciekawa – odezwała się Dzemma.

Pudełeczko leżało zamknięte, stara jejmość otworzyła je znowu, wyjęła spinkę i podnosząc ją w palcach przeciwko światłu, całą jej piękność starała się ukazać. Zwolna oczy Dzemmy spuszczone, zwróciły się na prześliczne cacko i spoczęły na niem długo.

– Bądź co bądź – mówiła Zamechska składając nazad spinkę na atlasowe posłanie – będę cię prosiła, piękna Dzemmo, abym spinkę mogła przynajmniej zostawić u ciebie. U mnie tyle

się ciekawych dziewcząt kręci, a ja tak zapominam zamykać, otwieram tak często...

Dżemma nie mówiła nic, ale usta się jej skrzywiły dumnie.

– Królewski podarek – szepnęła ochmistrzyni, i wstawszy z krzesła położyła pudełko na stole obok różańca.

Oczy Włoszki szły za nią, nie zaprotestowała przeciwko temu. Starej zdawało się, że o ile mogła i umiała, spełniła co jej zlecono. Nie obiecywała więcej. Klejnot miał w rękach Dżemmy pozostać i czarowna jego siła powoli działać na kobietę, dla której był przeznaczony.

Uśmiechem i poruszeniem głowy pożegnawszy siedzącą, zadumaną Włoszkę, Zamechska z pośpiechem, nie dając jej czasu na odpowiedź, wyniosła się za drzwi.

Zaledwie się one za nią zamknęły, gdy Dżemma wstała ze swego w oknie siedzenia. Zbliżyła się żywo do stolika, pochwyciła pozostawione pudełko, dobyła z niego spinkę i powróciła z nią do okna.

Teraz dopiero mogła się przypatrzeć ze wszelkimi szczegółami temu arcydziełu nie złotnika ale rzeźbiarza, który maleńkim figurkom taki wdzięk i takie umiał nadać życie. Zapomniała pewnie o pochodzeniu tego tajemniczego podarku, cała była przejęta zachwytem. Spinka wydawała się jej niezrównanej piękności.

Po długim obracaniu jej na wszystkie strony, szła już złożyć do pudełka z westchnieniem, gdy w otwartych nagle drzwiach ukazał się powracający z przejażdżki Zygmunt August,

w czarnych włoskiego kroju sukniach, w płaszczyku na ramionach... piękny a tak królewsko wyglądający, iż w nim każdy musiał domyślać się pana.

Nim miała czas schować spinę Dzemma, król młody już ją zobaczył. Był on miłośnikiem wielkim drogich kamieni i wytwornych, kunsztownych robót złotniczych, których później ogromne po nim zostały zbiory.

Widok klejnotu, w ręku tej której on tylko teraz miał prawo przynosić podarki, zdumiał go i zaciekawił. Postąpił żywo i pochwycił spinę, a uśmiech po ustach mu przeleciał.

– Nieprawdaż? cudnie piękna! – zawołał. – Znam ją, bo mi przynoszono na sprzedaż, ale była za droga, a ja bez pieniędzy. Więc dobra matka moja kupiła, aby kochaną Dzemmę w nią ustroić. O! jakże wdzięczny jestem...

Włoszka się zarumieniła mocno, lecz nie śmiała czy obawiała się zaprzeczyć od razu... milczała. August trzymał w ręku spinę i oczy mu się do niej śmiały.

– O! ci Włosi – zawołał – ci Włosi... co są za kunsztmistrze; żaden naród w świecie nie pochlubi się takimi jak oni malarzami, rzeźbiarzami, rękodzielnikami. Ani Francuzi, którzy piękne też robią cacka, ani Hiszpanie, których broń bywa cudną, walczyć z Włochami nie mogą.

# Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.